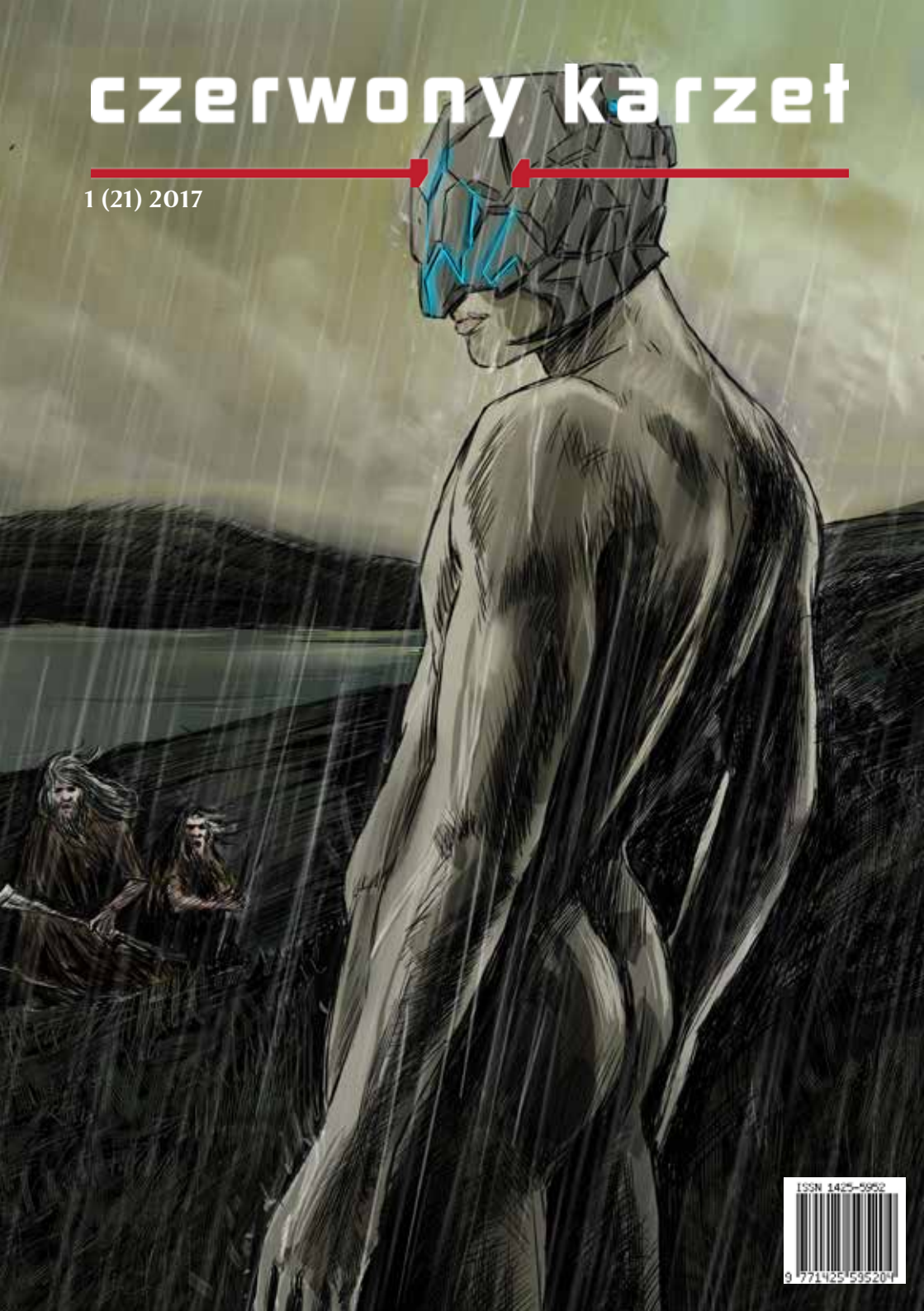


# czerwony karzet

1 (21) 2017



ISSN 1425-9952



9 771425 595204

## PROZA

|   |    |
|---|----|
| Jacek Izworski<br><i>Przedwczesne wyznanie</i>                  | 8  |
| Jean-François<br><i>Wyalienowany</i>                            | 11 |
| Luiza Dobrzyńska<br><i>Ucieczka z piekła</i>                    | 12 |
| Maciej Szymczak<br><i>Piramida</i>                              | 21 |
| Weronika „Ryuumei” Słabosz<br><i>Podróże profesora Ticklesa</i> | 31 |

## PUBLICYSTYKA

|   |    |
|---|----|
| Wywiad: <i>Bogatą wyobraźnię miałem od dziecka</i>                          | 3  |
| Grzegorz Szczepaniak<br><i>Moje spotkania z UFO w PRL-owskiej telewizji</i> | 27 |



Archiwum CK  
na stronie GKF

## OD REDAKTORA

**K**to choć raz w życiu nie spojrział w rozgwieżdżone niebo z nadzieją, że nie jesteśmy sami w bezkresnym Kosmosie, nie śledził z ekscytacją błysku meteorów na nieboskłonnie, może sobie odpuścić lekturę niniejszego numeru. UFO to temat nie od dziś wzbudzający kontrowersje. Istnienie cywilizacji pozaziemskich jest nie tylko przedmiotem dociekań naukowców, ale także chwytliwym motywem rozpalającym ludzką wyobraźnię, obecnym w literaturze, kinie czy kulturze w ogóle. Pewne środowiska traktują ten temat nazbyt poważnie i narażają się na śmieszność, głosząc, że kosmici przebywają wśród nas od zarania dziejów i stale wywierają wpływ na rozwój naszej cywilizacji. Niejedna sekta – choćby popularni w środowisku hollywoodzkich celebrytów scjentologowie – powoływała się na kontakty z kosmitami, czy liczyła na ratunek z ich strony przed domniemanym końcem świata, co nader często okazywało się tragiczne w skutkach. Dopóki pamięta się o istotnej różnicy pomiędzy rzeczywistością a fikcją, można świetnie się bawić tematem UFO. Zapraszamy do lektury najnowszego Czerwonego Karła, w którym staramy się zaprezentować rozmaite podejścia do kwestii cywilizacji pozaziemskich oraz podboju kosmosu.

**Czerwony Karzeł**  
Magazyn Literacki  
Gdańskiego Klubu  
Fantastyki  
Nr 1 (21) 2016

100 egz.

ISSN 1425-5952

**Adres korespondencyjny:**  
80-385 Gdańsk  
ul. Opolska 2

**Redakcja:**  
Karolina Kaczkowska (RN)  
Agata Plank-Wcisłowska  
Jan Plata-Przechlewski  
Grzegorz Szczepaniak

**E-mail:**  
delvanakk@gmail.com

**Okładka:**  
Chris Chalik, *Horus*

**Druk:**  
Print Group Sp. z o.o.  
<http://printgroup.pl>



Z JACKIEM IZWORSKIM ROZMAWIA KAROLINA KACZKOWSKA

3

## BOGATĄ WYOBRAŹNIĘ MIAŁEM OD DZIECKA

**Jacek Izworski** (ur. 1950) to wrocławski twórca fantastyki, jeden z pierwszych działaczy lokalnego fandumu, współtwórca bibliografii Encyklopedii Fantastyki oraz autor powieści *Gwiezdne Szczenię* (1986) oraz *Węzeł światów* (t. 1 – 2014, t. 2 – 2016). Ten wyjątkowy człowiek, który od urodzenia zmagają się z inwalidztwem, przez co nie bywa na ogólnopolskich konwentach, dla wielu polskich fanów fantastyki pozostaje anonimowy. Postanowiliśmy to zmienić. Drodzy Czytelnicy, poznajcie Jacka Izworskiego.

### Jak to się stało, że zainteresował się Pan fantastyką?

Bardzo bogatą wyobraźnię miałem od dziecka, podkarmianą w dodatku przez książki. Pamiętam, że wtedy czytałem *Pana Soczewkę*, *O warszawskiej syrence*, nieco później *Doktora Dolittle*. Mając 10–12 lat czytałem już Verne'a i *Astronautów*. Opowiadałem wtedy bratu różne fantastyczne historyjki, często oparte na tym, że dostajemy się do jakiejś „krainy czarów”, rządzonej przez naszych dziecięcych wrogów, pokonujemy ich i robimy tam porządki. Już wówczas próbowałem coś pisać, ale to były bzdury, głównie robinsonady. Fascynowało mnie także nieznanne, czytałem dużo książek podróżniczych, m.in. Centkiewiczów. Po okresie młodzieżowych lektur, m.in. Behounka i Broszkiewiczza, o mało mnie nie

zniechęciła do fantastyki przerabiana jako lektura szkolna (!) *Mgławica Andromedy*, i to tylko jako komunistyczna utopia, bez wątku kosmiczno-poznawczego. Na szczęście potem zafascynowały mnie *Dalekie szlaki* i trylogia Souczka. Po ich przeczytaniu stałem się wręcz pasjonatem fantastyki. Kiedy pod koniec studiów przeczytałem całą wówczas dostępną fantastykę po polsku, zacząłem czytać także po rosyjsku, gdyż we Wrocławiu była księgarnia rosyjska.

### Co Pana najbardziej zafascynowało w literaturze fantastycznej?

Początkowo kosmos, inne światy, istoty o niezwykłych kształtach i metabolizmach. Bardzo lubiłem też rozumne zwierzęta. Szczególną wagę ma tu dla mnie opowiadanie Bilenkina *Miasto i wilk*. Potem zacząłem także lubić fantasy, ale raczej magic, z takimi istotami, jak gryfy, smoki, sfinksy, centaury, a zwłaszcza syreny. Elfy, krasnoludy, czy nawet faerie interesują mnie mniej, gdyż są do ludzi zbyt podobne, a poza tym to przeważnie książki o wojnach, a za tą tematyką nie przepadam, jestem pacyfistą. A już wojny kosmiczne są dla mnie czystym absurdem, nie tylko zresztą dla mnie. Wielu dowodzi, że są one niemożliwe, a fantaści uparcie ten temat wałkują. Nigdy nie lubiłem natomiast horroru, a komiksów... nie umiem czytać, gdyż mam kiepski odbiór fabuły z nieruchomych rysunków.



4 **Zatrzymajmy się chwilę przy fantastyce rosyjskiej. Z powodów oczywistych, chociaż niekoniecznie w pełni uzasadnionych, niechęć do Rosji wciąż pokutuje w naszym kraju. Czytał Pan rosyjską fantastykę dlatego, że nie było innej, czy może ze względu na jakieś jej walory?**

Pierwszych kilka książek przeczytałem po prostu dlatego, że innej nie było. Ale bardzo szybko się wciągnąłem i zaczęła mi się naprawdę podobać. Jeśli nie stara się naśladować zachodniej, ma swoisty styl, „zadumczuiwyj”, i pod warstwą przygody często ukrywa humanistyczne ideały, co w zachodniej jest jednak znacznie rzadsze. Szybko zacząłem tłumaczyć opowiadania, z których niestety zaledwie kilka się ukazało. O wartości, jaką ma dla mnie, niech świadczy choćby fakt, że obecnie, kiedy jest tyle fantastyki po polsku, czytam chyba więcej

po rosyjsku na komputerowej stronie flibusta.ru. Z tej flibusty tłumaczę świetny cykl powieści SF o smokach Pawła Szumiłta (właśc. Szumiłowa) i tom I *Samotny smok* chciałyby wydać jeszcze przed Polconem 2016, niestety, najwyżej 100 egz. (+ e-book) – na tyle się zgodził autor. Oczywiście moja sympatia nie dotyczy fantastyki socrealistycznej, mniej więcej do roku 1956, oraz tzw. bojowników.

**Pozostaje żałować, że tak mało fantastyki rosyjskiej ukazało się u nas. A jak wyglądały Pana początki w fandomie?**

Jestem jednym z najdawniejszych weteranów. Po zakończeniu *Gwiezdnego szczytu* w roku 1976 zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, że w Warszawie powstał chyba pierwszy klub SF w Polsce i napisałem tam. Odpowiedział mi red. Andrzej Wójcik, przesałem mu *Szczenie* i propozycję zorganizowania Klubu we Wrocławiu. Klub zorganizowało kilku studentów, m.in. późniejsi autorzy SF Andrzej Drzewiński i Andrzej Ziemiański oraz pewna studentka, nie pamiętam, jak się nazywała, która mieszkała akurat u mnie, więc zostałem zaproszony na pierwsze spotkanie w klubie Index i już stałem. Potem przybyli też inni, m.in. autorzy i tłumacze Robert Szmidt, Eugeniusz Dębski i Andrzej Sawicki oraz taki sam jak ja zbieracz i znawca fantastyki rosyjskiej, nieżyjący już Zbigniew Adamski. Ja organizowałem tam „Pokłosia roku”, czyli coroczne przeglądy nowości wydawniczych oraz czasem konkursy. Szedar powstał o wiele później i przez jakiś czas należałem do ogu klubów, ale stary się rozpadł.





## Jak zmienił się fandom przez te 40 lat?

Bardzo się rozwinął. Zaczynało się od kilku osób w każdym mieście, a dzisiaj to już prężny ruch. Wiele klubów posiada biblioteki, w których można wypożyczyć książki. I to dobrze, bo przy takiej ilości książek nikt nie byłby w stanie tyle kupić. Giełd książkowych, na których kupowało się rzadsze książki, już nie ma, ale przy Allegro są niepotrzebne – sam na Allegro kupiłem wszystkie książki okresu 1945–1989, na którym się skoncentrowałem, bez kilku, które mam na ksero oraz horroru i komiksów. Imprez fantastycznych też jest coraz więcej, aż szkoda, że nie mogą na nie już jeździć, i są coraz ciekawsze (sądząc tylko po wrocławskich, ale inne też są chyba podobne).

## Porozmawiajmy teraz o Pana twórczości literackiej. Jak przebiegała droga od *Gwiezdnego Szczęścia* do *Węzła Światów*?

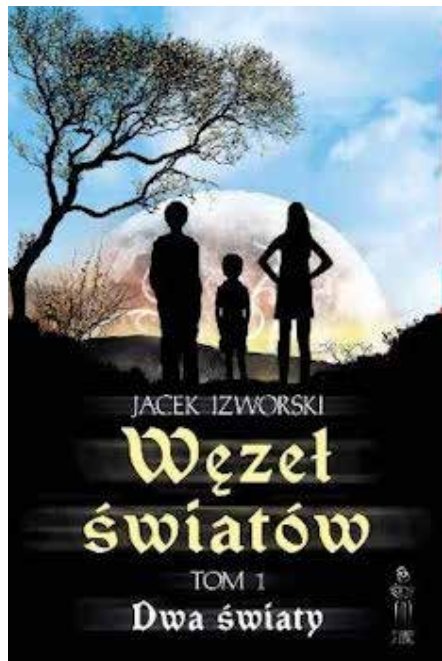
*Gwiezdne szczęście* napisałem tuż po studiach, trochę z... nudów. Takiego inwalidy jak ja nikt nie chciał przyjąć do pracy, choć miałem tytuł magistra bibliotekoznawstwa. Pomysł zaczerpnąłem z *Miasta i wilka* – ratowanie ludzi przez rozumne zwierzę. Powieść została przyjęta w KAW-ie, ale musiałem bardzo długo, aż 10 lat, czekać na jej wydanie. Ciągle ktoś wypychał się przede mną. W końcu wydali, podejrzewam, że sporą rolę odegrało to, że dowiedzieli się o planowanej ustawie, która nakazywała wypłacać honorarium w kwocie obowiązującej w dniu wydania książki, a nie podpisania umowy (wtedy była duża inflacja). W rezultacie otrzymałem chyba 10 % wartości honorarium, co

i tak było znaczną sumą, wystarczającą na podłączenie domu do elektrociepłowni. W czasie tych 10 lat najpierw próbowałem napisać powieść o psach, w których umieszczono rozum ludzkich dzieci, ale nigdy jej nie skończyłem. Tłumaczyłem też już wtedy opowiadania SF z rosyjskiego, ale tylko kilka się ukazało. Niektóre ukazały się w innych przekładach, a część w ogóle. Potem tłumaczyłem powieść A. Mirera *Dom tułaczy*, ale przekład nie był dobry, co sam dziś przyznaję, i słusznie się nie ukazał. Niestety pożyczylem komuś i nie oddał, może bym poprawił i wydał. Przez kilka dalszych lat robiłem bibliografię fantastyki, wydawaną w odcinkach w „F” i „NF”. Doprowadziłem ją do roku 1986, gdyż za dalsze lata nie było już adnotowanego rocznika bibliograficznego „Literatura Piękna”. W roku 1990 umarła moja matka, co bardzo przeżyłem i przez kilka lat nic nie pisałem. Potem, mając już kota, najpierw chciałem napisać humoreskę o kotopodobnych przybyszach z kosmosu pt. *Kociaki z Akrenii*. Nie szło mi, ale dzięki tej próbie wpadłem na pomysł napisania nieco xathyjskiej powieści o krzyżówkach ludzko-zwierzęcych (bantakach) ze sfinksami w rolach głównych pt. *Węzeł światów*. Współpraca z Zygmuntem Świecimskim (zoologiem) bardzo tą fantazy „unaukowiła” (wielu fantastów, jak choćby Anthony, nie ma pojęcia o anatomii i spora część ich istot nie mogłaby po prostu istnieć). Niestety, bez niego nie jestem w stanie dokończyć na tym samym poziomie tomu trzeciego, a nie chcę pisać bzdur. Podejrzewam, że kłopoty z wydaniem *Węzła* były spowodowane tym, że w pierwszym rozdziale, *Artefakt Lemierre’a*, dodanym już po jego śmierci,





6



były spore błędy. Kilku z nich nie odkryła nawet pani redaktor, dopiero recenzenci z Ocenarium. Widoczne wydawcy pomyśleli, że dalej jest jeszcze gorzej - a było już tylko lepiej. No i wydałem w vanity. Potem jeszcze opracowałem nową bibliografię fantastyki w dużo bardziej przejrzystym układzie niż w „Fantastyce”, uzupełnioną o lata 1987–1989 i sporo opuszczonych pozycji. Jest gdzieś przy Encyklopedii Fantastyki Sedeńki, ale chciałbym ją też wydać drukiem. No i ostatnio wziąłem się do tłumaczenia cyklu Szumiła o smokach i jestem już w połowie piątego tomu.

**Czasem zarzuca się autorom, że bohaterowie ich książek to odbicie ich samych. Czy można to powiedzieć o którejs z wymyślonych przez Pana postaci?**

Do pewnego stopnia Białek (Kondias) jest moim odbiciem. W stosunku do czikorów jest niepełnosprawny, ma kompleks niższości – a potrafi go przewyciężyć. Z tym była cała heca. Zygmunt Świecimski po przeczytaniu mojej powieści miał niesamowite wrażenie, że Białek to on, bo ten kulnik jeszcze bardziej przypomina jego niż mnie, zarówno swoją „niepełnosprawnością”, jak i zainteresowaniami. Napisał do mnie – przez KAW – co zapoczątkowało wieloletnią wymianę korespondencji, a potem współpracę przy *Węźle*. Moim odbiciem jest też ojciec Mirka z *Węzła*: bibliotekarz i fantasta. W pierwszej wersji zresztą to sam Mirek miał być tym bibliotekarzem, mężem Krystyny i ojcem Marcinka, ale ponieważ powieść wyszła młodzieżowa, zrobiłem z niego licealistę, a z Krystyny jego siostrę, studentkę matematyki.

Zygmunt Świecimski (1953–2008) był zoologiem, choć nie skończył studiów z powodu pogłębiającego się inwalidztwa. Miał też dużą wiedzę z zakresu historii techniki, co szczególnie przydało mi się przy *Węźle*, który pod tym względem jest zupełnie nietypowy – w krainie magii mamy technikę drugiej połowy XVIII wieku. Natomiast zupełnie wyjątkową jego cechą była umiejętność odbioru świata książki tak, jakby sam był jej bohaterem, zwłaszcza narratorem, w tym – co odkrył dopiero przy moim *Szczenięciu*, gdzie narratorem prawie połowy książki jest kosmiczne zwierzę – nawet nieczłowiekiem. Właśnie ta narracja, prowadzona przez tak nietypową istotę, tak mu się spodobała, że nawiązał ze mną kontakt. Kulnik to zwierzę z obcej planety o kształcie kuli z dwiema chowanymi mackami. Jest inteligentniejszy od delfina i został przez czikorów ucywilizowany – już na



poziomie końca XIX wieku. Ma jednak wobec nich spory kompleks niższości. Kondias jednak go przełamuje, dużo czyta i dzięki swojej wiedzy przeżywa inwazję na planetę, po czym wraz z przypadkową partnerką Bindką w bardzo dramatycznych okolicznościach trafia na statek kosmiczny ludzi. Bardzo im się przydaje. Czikorowie natomiast to odpowiedniki ludzi w świecie Kondiasa. Ich cywilizacja jest sympatyczniejsza od ziemskiej, ale ginie w owej inwazji kosmitów (nie ludzi, ci lądują tam akurat kilka dni później).

### Skąd wziął się pomysł na *Węzeł światów*? Czy długo pracował Pan nad tą powieścią?

Pomysł *Węzła światów* podpowiedziała mi moja kotka, Kitka (1995–2012). Chciałem coś napisać o kotach, a ponieważ one realnie nie potrafią mówić, zdecydowałem się na sfinksy. W ogóle te „mieszane” istoty magiczne (bantaki) mają na pewno w sobie coś z Xanthu, ale przy *Węzle Xanth* to bajeczka. Anthony nie ma pojęcia o anatomii, większość jego istot nie mogłaby w ogóle istnieć. Ja natomiast od początku chciałem napisać coś bardziej science, realistycznego, chociaż jeszcze fantasy – i to chyba mi się udało. Technika XVIII wieku na Wanerii to już mój całkowicie oryginalny pomysł, tylko brak broni palnej jest typowy dla fantasy. Świat agresorów, Hewast, oparłem na KRLD i Kampuczy Pol Pota. Powieść pisałem bardzo długo, chyba 7 lat. Na pomysł wpadłem gdzieś około roku 2000. Nie miałem jeszcze komputera, pisałem na maszynie, komputer dostałem dopiero w roku 2004 lub 2005. W połowie I tomu zacząłem współpracę z Zygmuntem, co bardzo poprawiło jakość

powieści, ale konieczność korespondencji wydłużyła czas jej pisania dodatkowo.

### Sądzę, że wykonał Pan dla polskiej fantastyki pracę, której nie da się przecenić. Czy ma Pan jakieś inne pasje poza fantastyką?

Od 10 roku życia pasjonuję się sportem, niestety, tylko jako kibic, i gram w brydża, niestety, od 20 lat nie ma z kim. Ostatnio zamiast brydża gram w Dziennym Domu Pomocy Społecznej w tysiąca i w warcaby, w tych ostatnich zająłem drugie i trzecie miejsce na mistrzostwach Wrocławia DPS-ów, dostałem puchary i nagrody. Kocham także koty, żałuję, że rodzina nie zgadza się na następcę Kitki, która była u mnie 17 lat – jak na kota żyła całkiem długo.

### Dziękuję za rozmowę.





8 JACEK IZWORSKI

## PRZEDWCZESNE WYZNANIE

### I. LIST

Medeam, 232. 21. 814.

*Drogi Miko!*

Zdobyłem się wreszcie na odwagę wyznania Ci wszystkiego. Jestem już stary, przed Tobą zaś całe życie. Lecz co z nim zrobisz po przeczytaniu tego listu – nie wiem... Zapewne i Tobie, i Kabie ciężko będzie żyć z tą świadomością, ale i tak w końcu dowiecie się wszystkiego, więc lepiej, jeśli dowiecie się ode mnie.

Pamiętasz, jak dawniej, gdy byliście mali, wciąż nas pytaliście, dlaczego nie jesteście tacy jak my? Najpierw opowiadaliśmy wam różne bzdury, że kiedyś będziecie gabeltami, że to normalne stadium naszego rozwoju i tak dalej. Później wyznaliśmy wam, że jesteście istotami z innej planety. Kiedy jednak zapytaliście, po co was z niej zabraliśmy – znowu musieliśmy was okłamać. Powiedzieliśmy, że w celu nauczania was wielu rzeczy, żebyście mogli później przekazać je własnej cywilizacji. W rzeczywistości było zupełnie inaczej...

Siedzę teraz na Medeam i czekam na odlot statku – jak wtedy, pół życia temu. Jakże się wówczas cieszyłem, że i ja lecę w kosmos, choć wiedziałem, że po powrocie nie zastanę już nikogo z moich dawnych przyjaciół... Przeklęty paradoks czasu! Dziś go już nie ma, a nowe statki nadświetlne bez porównania rozszerzyły zasięg naszej penetracji kosmosu. A mimo to nie odczuwam dziś radości. Moje życie powoli zbliża się ku końcowi, a zawodowym kosmonautom, jak wiesz, nie wolno mieć potomstwa. Długo myślałem, że mi je zastąpisz, że dzięki Tobie i Kabie wasz gatunek odrodzi się na nowo...

Tak, wasza cywilizacja również uległa samozagładzie – jak penkirski i tyle innych... Ty i Kaba jesteście jedynymi jej przedstawicielami. Wiem, że to dla Was będzie straszne, ale doczytaj do końca.

Gdy docieraliśmy wtedy do waszej planety, pierwszym, co na niej dostrześliśmy, był błysk wybuchu atomowego. „Powtarza się historia Penkirii” – pomyśleliśmy, a gdy, zbliżwszy się, ujrzeliśmy na jej dużych terenach olbrzymie zniszczenia – upewniliśmy się zupełnie. Postanowiliśmy więc na niej nie lądować, tylko wysłać robota, by zabrał stamtąd dwóch młodziutkich przedstawicieli tubylców, o ile nie byłiby już napromieniowani. Robot wybrał was.

Baliśmy się trochę, żeby nie było z wami kłopotów, lecz na szczęście nie było. Wyobrażam sobie, ile ich mieli nasi przodkowie z penkirmi! Pomijam już różnicę w wielkości, która





przy dzieciach nie jest tak istotna, lecz także ich metabolizm różni się trochę od naszego, no i, jak wiesz, mówią ultradźwiękami – na szczęście tam jest bez porównania bliżej! Wy natomiast różnicę się od nas tylko kształtem. Kształtem – i czymś jeszcze, o czym wtedy nie mieliśmy nawet zielonego pojęcia.

Pomimo tej różnicy spodobałiście się nam od razu. Szybko się z nami zżyliście, a kiedy po kilku latach wróciliśmy na Gartelę, na której minęły w międzyczasie wieki, wy – jako dzieci – nawet pod wieloma względami łatwiej przystosowaliście się do nowej epoki od nas, starych gabeltów. A my z Bowronem obiecaliśmy sobie, że już nigdy w kosmos nie polecimy i że będziemy o was i – jeśli dożyjemy – o wasze dzieci troszczyli się jak o własne. Nie dotrzy maliśmy obietnicy...

W zeszłym roku, jak wiesz, przywieziono kilka ciekawych zwierząt z planety Muron. Rozmnażają się one w zupełnie niezwykły sposób – przez przechodzenie jakiejś małej komórki z jednego ciała w drugie między przedstawicielami dwu określonych, nieco się między sobą różniących grup. W żadnej z osobna potomstwa być nie może. Pamiętasz, jak dziwiliśmy się, jakie to u nich skomplikowane, podczas gdy każdy dorosły gabelt, poza przedstawicielami kilku określonych zawodów, w tym kosmonautami, może wypączkować sobie dziecko kiedy chce – sam, bez żadnych wymian jakichś tam komórek – do trojga w życiu, a na przykład penkir nawet więcej. Byliśmy pewni, że tak samo jest i u was; kiedy jednak przywieziono te zwierzęta – kazaliśmy was potajemnie zbadać. Niestety! Spotkało nas najgorsze, co tylko było możliwe – okazało się, że i u was taka wymiana jest niezbędna oraz że należycie do tej samej grupy. Nie będziecie więc mieli potomstwa – jesteście nie tylko jedynymi, ale i ostatnimi przedstawicielami swojego gatunku...

Chcieliśmy wam o tym powiedzieć osobiście, ale nie mogliśmy. Obaj to również ciężko przeżyliśmy i postanowiliśmy polecieć jednak raz jeszcze w kosmos. Nasz „Loran” ma w programie również wizytę na planetach paru gwiazd, położonych w pobliżu waszego Solu, w celu sprawdzenia, jak rozwijają się tamtejsze cywilizacje. Zapewne uda nam się poprosić kapitana, by zбочzył nieco ku waszej gwieździe. Chcemy raz jeszcze zobaczyć ją z bliska, choć wiemy, że to nie ma sensu. Na jej trzeciej planecie pozostało z pewnością to samo, co na Penkirii – gruz i zabójcze promieniowanie. A jednak coś nas tam ciągnie – sami nie wiemy, co...

Żegnaj, Miko, moje kochanie. Żegnaj i wybac. Nie wiem, co teraz zrobisz, w każdym razie nie czekaj na mnie i nie przylatuj na Medeam. Kiedy otrzymasz ten list, będę już w nadprzestrzeni – właśnie w tym celu wybrałem tą tak przestarzałą formę przekazu wiadomości – a potem wrócę i tu, na tej planetce, przeżyję resztę życia. O to, co się stało, nie mam żalu do nikogo. Trudno – los tak chciał. Żegnaj.



## II. RADIOGRAM

Medeam, 232. 21. 817.

*Drogi Miko!*

**W**edług moich obliczeń, powinneś ten radiogram otrzymać dokładnie w chwili, gdy czytasz ów nieszczęsny list i mam nadzieję, że uchroni Cię to od popełnienia jakiegoś głupstwa.

Mieliśmy być już w nadprzestrzeni, ale start „Loranu” został przełożony, najpierw z przyczyn technicznych, a potem... Nie uwierzysz, Miko, otóż otrzymaliśmy sygnały od rozumnych istot z... Twojej ojczyzny!!! Sami nie mogliśmy w to uwierzyć, po kilka razy prosiliśmy pracowników medeamskiego radioteleskopu o sprawdzenie, a gdy upewnili nas ostatecznie, byliśmy zdumieni i uradowani jak nigdy w życiu. Nie, no wiesz, to wprost niesamowite! Jak oni to zrobili?! A może te eksplozje były tylko próbami? Ale przecież widzieliśmy tyle zniszczeń... Musieli się więc wycofać po pierwszych wybuchach – przypadek bez preceden-

su! Obaj znamy dzieje naszej nieudanej interwencji na Penkirii, oglądaliśmy na filmach ruiny Terele i Korvanu, potwórki Midiosu... Wszystkie te cywilizacje zginęły, gdyż zbyt wcześnie odkryły potężne bronie, głównie atomową. Na waszej planecie nawet nie próbowaliśmy interweniować, mając w pamięci penkirskie doświadczenia. I oto nagle...! Ale w jaki sposób oni wyrwali się z tej atomowej pułapki?! W każdym razie dokonali tego i już za to ich podziwiam.

Obaj z Bowronem odzyskaliśmy sens życia – dla siebie i dla was. Przybywajcie tutaj jak najszybciej, polecicie z nami! Wróćcie na planetę, którą opuściliście kilkaset lat temu jako dzieci! Sądzę, że każdy gąbel z przyjemnością zobaczyłby ten ewenement kosmosu.



Paulina Śliwa



JEAN-FRANÇOIS

## WYALIENOWANY

- Proszę najpierw chuchnąć do tego urządzenia!
- Ależ, panie władzo, nie dzwoniłbym po nocy na policję, gdybym był pod wpływem...
- Faktycznie, wynik 0,00.
- No widzi pan! A ja naprawdę widziałem to błękitne światło latające nad zagajnikiem.
- Pewnie się panu coś przywidziało. Proszę wybaczyć tę uwagę, ale na moje oko ma pan już sporo lat i dioptrii...
- Ale jeszcze nie stetryczałem – to na pewno nie było nic ziemskiego! Trudno. Dobranoc. I przepraszam za fatygę!

\*\*\*

Policjant dłuższą chwilę patrzył za odjeżdżającym. Gdy jego czerwone seicento całkiem już zniknęło za drzewami – wszedł do radiowozu. „Nareszcie koniec tego długiego patrolu” – pomyślał. Nacisnął przycisk ukryty pod kierownicą. Drzwi zamknęły się bezszelestnie.

Radiowóz nieznacznie uniósł się w górę. Koła schowały się w podwoziu, z którego błysnęła silny strumień oślepiającego blasku. Chwilę później, w mgnieniu oka, srebrzysto-błękitny pojazd pomknął w kierunku migoczących gwiazd. 🗿



Spodek z serialu *Najeźdźcy* (1967–1968)



12 LUIZA DOBRZYŃSKA

## UCIECZKA Z PIEKŁA

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem tę ciężarówkę. Naszą ulicą jeździło ich tak wiele, że pewnie nie zwróciłbym uwagi na jeszcze jedną, gdyby nie powiedziała mi o niej Ola. Może powiedziałyby też innym, gdyby niepewność, że puściłiby to mimo uszu, jak zwykle. Chociaż moja siostra uzyskiwała najlepsze możliwe wyniki na uczelni i w olimpiadach naukowych, traktowano ją w rodzinie jak chorą umysłowo. Można to nawet zrozumieć. Dziewczyna z zespołem Aspergera, na pograniczu autyzmu, nieprawdopodobnie uzdolniona w zakresie nauk ścisłych, ale zachowująca się i wyrażająca często w niepojęty sposób... Mało kto miał do niej cierpliwość.

Ja miałem. Od dziecka istniała między nami mocna więź i to mnie Ola mówiła wszystko to, czego nie powiedziałyby innym. Gdy tylko przeprowadziłem się „na swoje”, dołączyła do mnie, nie pytając nikogo o zdanie. Od tej pory mieszkaliśmy razem, nie przeszkadzając sobie, ale zawsze gotowi do pomocy jedno drugiemu. Teraz też Ola zwróciła się do mnie, zamiast poszukać innego autorytetu.

— To nie jest zwykła ciężarówka — powiedziała. Uniosłem brwi.

— To znaczy?

— No, nie jest normalna, jak inne! — zniecierpliwiła się od razu, jak zawsze, gdy ktoś jej nie rozumiał. - Jeździ dwa razy dziennie, zawsze o wschodzie i zachodzie słońca. Kiedy akurat idę ulicą i przejeżdża obok mnie, czuję takie szarpnięcie w środku. Czasem nawet odczuwam je, kiedy jestem w domu. Coś jest z nią nie tak.

Przez lata przywykłem do poważnego traktowania przecuć Oli. Często nie umiała ich wytłumaczyć, ale zawsze okazywały się trafne. Czy chodziło o zaginionego psa sąsiadów, czy o to, jakie tematy będą na następnym sprawdzianie, czy też o nagłą chorobę. Gdy miała trzynaście lat, zadzwoniła po pogotowie, bo nasz ojciec położył się, by trochę pospać po obiedzie. To był atak śpiączki cukrzycowej. Uratowała mu życie, bo poczuła zapach acetonu, którego nikt w domu nie używał. Przykładów było więcej. Mówiono, że to zbieg okoliczności, ale ja wiedziałem swoje.

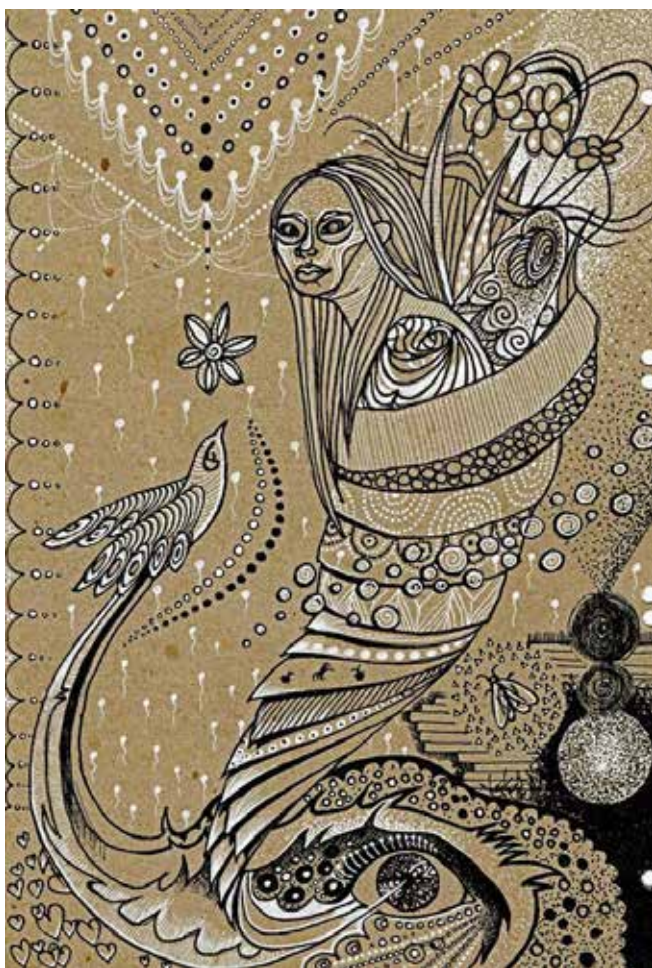
Postanowiłem sprawdzić dziwną ciężarówkę. Jedyne, co mogłem z początku o niej powiedzieć, to to że była bardzo duża, pozbawiona oznakowania i zawsze wyglądała na zakurzoną. Może faktycznie różniła się od innych, ale tyle ich było... Dla przeciętnego obserwatora ta konkretna mogła być zupełnie zwyczajna, ale nie dla Oli. Dla niej różniła się od pozostałych niczym owca od kozła. Znałem ją lepiej niż ktokolwiek inny i wiedziałem, że teraz uczepli się tej sprawy z uporem, w którym nie miała sobie równych. Jedyнным sposobem, by uniknąć maniakalnego wracania do tematu, było zebranie wszelkich możliwych informacji i udowodnienie Olce, że to zwykły dostawczak, jak wiele innych. Może gdyby chodziło tylko o przecucia mojej siostry, nie wziąłbym się za to tak



gorliwie, ale sam zacząłem mieć wątpliwości. Coś było ewidentnie nie tak w tym ciężkim wozie, niby podobnym do innych, ale mimo wszystko odmiennym. Nie miał żadnych czytelnych oznaczeń, tablica rejestracyjna była tak zapaćkana, że odczytanie numeru graniczyło z niemożliwością, a boczne okna nosiły ślady nadtłuczeń. Kierowców zawsze było dwóch, ale nie mogłem określić, czy to mężczyźni, czy kobiety. Odnosiłem wrażenie, że nawet przednia szyba, nie tylko te boczne, zniekształca jakoś ich obraz. Zaintrygowany, zacząłem zasadać się w oknie kanciapy na parterze, z lornetką wojskową przy oczach. Mogłem to robić bez przeszkód, gdyż do tego akurat kąta nikt już nie zaglądał. Kiedyś był tam kącik zabaw dla maluchów, potem działało tam coś w rodzaju małej, niezarejestrowanej wypożyczalni DVD. Później właściciel przeniósł się do większego lokalu, a spółdzielnia dotąd nie wynajęła pomieszczenia nikomu innemu.

Po kilku porankach i wieczorach, poświęconych na pilną obserwację, mogłem już zanotować podstawowe uwagi. Przede wszystkim nie byłem w stanie określić marki wozu, a to mogło obudzić dzwonek alarmowy. Przecież znałem się na tym. Odkąd stanąłem samodzielnie na nogach, spędzałem mnóstwo czasu przy oknach, licząc przejeżdżające TIRy i dostawczaki, i zadurzając ojca pytaniami o markę wozów. W wieku ośmiu lat odróżniałem je już bezbłędnie, niezależnie od tego, jak szybko przejeżdżały. A ta konkretna ciężarówka jakby nie miała marki w ogóle! Skonstatowawszy to postanowiłem przyjrzeć się jej z bliska. Następnego dnia wstałem dobrze przed świtem, wzięłem swój skuter i czekałem w bramie, zaczajony niczym myśliwy w zasadzce.

Nie musiałem długo czekać. Gdy tylko dziwna ciężarówka







przejechała obok naszego domu, kopnąłem w starter i pojechałem za nią. Po kilkunastu minutach udało mi się z nią zrównać. Przypatrywałem się pilnie zwróconej ku mnie ściance, ale nie mogłem dostrzec pod warstwą kurzu żadnego napisu – choć w jednym miejscu wydawało mi się, że coś widać. Utrzymując tempo wyciągnąłem rękę, by zetrzeć trochę kurzu z wypatrzzonego miejsca. To nie był najlepszy pomysł, zwłaszcza że nie zabrałem rękawiczek.

Miałem więcej szczęścia niż rozumu. Kiedy szarpnąłem się odruchowo do tyłu, skuter zatańczył jak pijany na jezdni, następnie wywrócił się, a ja poleciałem na trawnik. Uratowało mnie to, że zdążyłem nacisnąć hamulec, no mi że miałem na sobie kask i wywatowaną kurtkę. W nocy i nad ranem było już zimnawo. Co jednak spowodowało całą katastrofę? Co zrobiłem nie tak? Nieraz przecież z kolegami jeździlo się i odbijało ręce na bokach TIRów, parodiując „Czterech pancernych”, nawet mandaty policyjne nas nie powstrzymywały. Stanowiliśmy zgraną grupę zawadiaków, którym morze po kolana... Ale nie o tym miałem mówić.

Otóż blacha wcale nie była zakurzona, jak sądziłem. Pokrywał ją gruby szron, który sparzył moją rękę niczym ogień. To właśnie spowodowało niezamierzoną reakcję i wywrotkę, która mogła zakończyć się tragicznie. Kiedy minęło oszołomienie, pozbierałem się jakoś, podniosłem skuter i wróciłem do domu. Maszyna szczęśliwie działała. Dopiero dojechawszy do domu poczułem, jak bardzo jestem poobijany. Wszystko mnie bolało, a ściągawszy kurtkę i sweter, zobaczyłem rozległe sińce i otarcia na skórze. No, mogło być gorzej.

— Kierowca cię pobił? — spytała Ola, wszedłszy do łazienki za mną. Obejrzałem się na nią. Stała założywszy ręce na piersi i przyglądała mi się zza okularów, przekrzywiwszy głowę na lewe ramię.

— Nie, miałem wywrotkę — odparłem ponuro. — A ty miałaś rację. Coś nie tak z tym wozem.

— Znaczą coś?

— To nie jest normalna ciężarówka. To jakby chłodnia do przewożenia lodu w blokach albo zamrożonej żywności, ale w życiu nie widziałem, żeby taki wóz był zamrożony od zewnątrz!

Ola strzeliła palcami.

— Ten kuiz od początku wydawał mi się dziwny.

— Bo to szron, nie żaden kuiz. Trzeba to zbadać.

Uśmiechnęła się zwycięsko. Lubiła mieć rację i zresztą przeważnie miała. Nadal patrzyła na mnie, tak jakby o czymś uparcie myślała.

— Pojedźmy za nią — zaproponowała nagle.

— Po co?

— No, żeby zobaczyć, dokąd ona jeździ. Sam mówisz, że jest dziwna, warto zorientować się, co jest grane. Jeśli szron pokrywa ją od zewnątrz nawet w upały, to znaczy że



w środku musi być naprawdę niska temperatura. Takiej nie utrzymuje się po to, by przewozić mrożonki do supermarketów.

Przez długą chwilę patrzyliśmy na siebie. Nie musieliśmy już nic mówić. Oboje mieliśmy po ojcu żyłkę awanturniczą – nim zachorował, był podróżnikiem, dziennikarzem, działaczem na rzecz tych, co nie mogą się sami bronić. Nawet teraz pracował na rzecz swojej organizacji, tyle że z za biurka, przez internet. Nigdy niczego się nie bał i my dwoje byliśmy do niego podobni. Jak sobie coś postanowiliśmy, robiliśmy to, nie bacząc na nic.

Po naradzie wybraliśmy kurs o zachodzie słońca i gdy tylko wypatrzyliśmy ciężarówkę, ruszyliśmy za nią. Tym razem wzięłem motocykl, nie skuter, żeby Ola też mogła wygodnie usiąść. Trzymaliśmy się w pewnej odległości, by kierowcy nas nie zauważyli, nic jednak nie wskazywało na to, by w ogóle interesowali się tym, kto za nimi jedzie i po co. Towarzyszyliśmy ciężarówce w jej drodze za miasto. Ku naszemu zdumieniu nie kierowała się ani do żadnego zakładu przemysłowego, ani do hipermarketu, tylko skręciła ku Martwej Parceli. Tak nazywaliśmy dawny plac budowy podmiejskiego osiedla, na którym prace stanęły chyba z dziesięć lat temu i nic nie wskazywało na to, by znów ruszyły. Były problemy z prawem własności gruntów, o które kłóciły się dwie instytucje i chyba z dziesięć prywatnych osób, tak więc nikt tu od bardzo dawna nie zaglądał. Bramę spinał łańcuch, ale gdy ciężarówka podjechała, otworzył się przejazd w boku siatki, tak sprytnie zamaskowany, że nikt nie mógł dostrzec instalacji. Wjechaliśmy, zanim przejście się zamknęło, nie myśląc wcale o tym, jak wyjedziemy.

Ciężarówka minęła składy materiałów i rdzewiejącego beznadziejnie sprzętu, minęła baraki dla robotników i zatrzymała się na placu. Był on dziwnie jasny, niemal biały, a gdy zbliżyliśmy się, owionęto nas przeraźliwe zimno.

— To jest lód... — szepnęła mi do ucha Ola. Zatrzymałem motor za stosem desek.

— Lód na początku jesieni? — mruknąłem. — I to nie byle jaki, czujesz jak zimno? — zadygotałem, bo ziąb był coraz bardziej dojmujący.

Kierowcy wysiedli z szoferki, otworzyli drzwiczki z boku ciężarówki i wyciągnęli coś w rodzaju węża pożarowego. Podeszli na środek placu. Ich ruchy były dziwnie miarowe, zgodne, jak u robotów z filmu SF. Jeden z nich nacisnął przycisk na urządzeniu przypominającym krótkofalówkę. Coś zaskrzypiało i pośrodku placu uchyliła się ze skrzypem gruba kłapa, wyglądająca niczym zamrożona płyta chodnikowa. Spod ziemi buchnęła lodowata para, której emanacja dotarła nawet do nas i ścięła nam oddech. Drugi z kierowców wsunął przez otwór koniec węża i przełożył wajchę obok miejsca, gdzie wąż łączył się z urządzeniem wewnątrz ciężarówki. Z minuty na minutę robiło się coraz zimniej, ale nie potrafilismy porzucić niezrozumiałego widoku i odjechać. Wycofaliśmy się dopiero, gdy kierowcy zaczęli związać swój sprzęt.

W domu przede wszystkim napiliśmy się gorącej herbaty z cytryną, bo oboje byliśmy dosłownie skostniaли.



— I co ty na to? — spytałem, gdy wreszcie mogliśmy normalnie mówić.

— Nie mam pojęcia, co powiedzieć — przyznała moja siostra. — Wiesz co? Musimy tam kiedyś pojechać tak w środku dnia i wszystko obejrzeć. To naprawdę bardzo dziwne. Nie znajduję żadnego wyjaśnienia.

— No, jak ty nie znajdujesz...

Kilka dni później znaleźliśmy czas, by pojechać na Martwą Parcelę. Ubraliśmy się ciepło, włożyliśmy też grube buty, ale i tak nogi zaczęły nam marznąć, gdy stanęliśmy na zamrzniętym placu. Bo naprawdę był on uczciwie zamrznięty! Ola pochyliła się i poskrobała paznokciami powierzchnię.

— To nie jest zwykły lód — mruknęła. Rozejrzała się, znalazła kawałek utamanego metalowego pręta o zaczęta dźgać nim lodową płytę. Zdyszała się i spociła, nim wykopała, a

razem wyskrobała mały dołek. Potem odrzuciła pręt, wyprostowała się i patrzyła. Ja też. Obojgu nam zaparło dech, gdyż wyrąbany dołek niemal w oczach zaczął się wypełniać. Po chwili nie było nawet znać, że ktoś tam coś majstrował.

— Ja w to nie wierzę... — szepnąłem.

Wróciliśmy do domu zdetonowani i zdezorientowani. Nie bardzo wiedzieliśmy, co robić.

— Zawiadomić kogoś? — zaproponowałem bez przekonania. Ola postukała się w czoło.

— Niby kogo, Mouldera i Scully?

Poskrobałem się w głowę, bo sam nie mogłem wymyślić, kogo niby mielibyśmy





zawiadomić i zdecydowaliśmy się poczekać. Oczywiście nie rezygnowaliśmy przy tym z obserwacji, mając nadzieję, że zdarzy się w końcu coś, co pomoże nam rozwikłać tajemnicę.

Tymczasem minęła jesień, zaczęły się przymrozki, a potem nastąpiła zima – i to taka, jakiej nie pamiętali nawet nasi rodzice. Mróz był przeraźliwy. Oczekiwaliśmy, że osobliwa ciężarówka przestanie w związku z tym jeździć, ale nic z tego. Nadal robiła swoje, wciąż trzymając się ściśle wschodów i zachodów słońca. Sprawdziliśmy raz i drugi, ale nic się nie zmieniało. Obaj kierowcy postępowali zgodnie ze schematem, a co nas bardzo dziwiło, stale mieli na sobie te same ubrania: komplety z dżinsu i kaszkiety wciśnięte głęboko na oczy, naprawdę nieodpowiednie na tę porę roku. Czy im w ogóle nie było zimno? My niemal kamienieliśmy, obserwując ich manipulacje i nadal nie umieliśmy znaleźć żadnego wytłumaczenia dla tej sytuacji. Był w tym jakiś absurd. Po co pompować pod ziemię coś, prawdopodobnie płynny gaz, co obniżało i tak niską temperaturę tak, że nic tam przeżyć nie mogło, a większość metali potrzebowałaby jak zeschnięta glina? Nic z tego nie rozumieliśmy, choć długie godziny spędzaliśmy na dyskusjach i tworzeniu teorii, z których każda okazywała się w końcu do niczego.

Pewnej styczniowej nocy obudziło mnie szarpanie za ramię.

— Wstawaj, Piotrek, ciężarówka pojechała!

— Co takiego? — jak każdy nagle zbudzony nie wiedziałem co się dzieje.

— Mówię ci, że pojechała. Czułam ją. Wstawaj szybko, coś musiało się stać!

Rzeczywiście, była północ, a jeśli wierzyć Oli, to o tej porze ciężarówka nigdy nie jeździła. A wierzyć jej mogłem, bo – jak napisałem wcześniej – od dziecka miała nieomyślnie wyczuć do pewnych spraw. Zerwałem się z łóżka, narzuciłem na piżamę spodnie, sweter i kożuchową kurtkę, wsunąłem na nogi grube buty i zbiegłem za siostrą do garażu, łapiąc po drodze naszą torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami. Mieliśmy w niej latarki, wełniane szale i kilka innych drobiazgów.. Po chwili mknęliśmy już dobrze nam znaną drogą. Osobliwy van jeździł zawsze jednym tempem, mogliśmy więc liczyć na to, że go dogonimy.

Zbliżając się do Martwej Parceli zobaczyliśmy słabe światło. Początkowo myśleliśmy, że to reflektory, ale podjechawszy bliżej ujrzeliśmy, że jesteśmy w błędzie. Emanowało ono od ledwie widocznego na tle nieba czarnego kształtu. Było zimno, niczym światło dalekich gwiazd i miało podobną, sinawą barwę. Odruchowo wyłączyłem reflektor. Czarny kształt miał formę pięcioboku i wisiał nieruchomo nad parcelą, emanując mrozem nie do opisania. Kłapa pośrodku placu była otwarta, a znani nam już kierowcy ciężarówki nie pompowali tym razem niewiadomej substancji do środka, a rozpylali ją na zewnątrz. Z wiszącej nad parcelą ogromnej Rzeczy – bo nie wiem do dziś, czym naprawdę była – wysunęło się coś wąskiego. Sunęło w dół, aż dotknęło ziemi. Wtedy z otworu w zamrożonej ziemi coś wyjrzało. Wstrzymaliśmy oddech. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robimy, podeszliśmy tak blisko, jak tylko zdołaliśmy, póki ostatecznie nie zatzymało nas



coś, co określiłbym jako „ścianę mrozu.” Naprawdę tak to odczuliśmy – jakbyśmy uderzyli całymimi ciałami w zwartą ścianę przeraźliwego zimna. Mogliśmy już tylko patrzeć. To, że możemy też zostać zobaczeni, jakoś nas nie przerażało. Nic jednak nie wskazywało na to, by ktokolwiek nas widział, choć obaj kierowcy powinni nas zauważyć. Patrzyli prosto na nas, przynajmniej tak się nam wydawało. Tymczasem coś, co wyjrzało spod ziemi, zaczęło niezdamnie wyłazić na powierzchnię. Jedno, drugie, trzecie... Właściwie nie wiem, jak to opisać. Postaci były z grubsza człękoksztaltne, choć przypominały też ruchome kupy zeschłego mchu. Nie sposób było ustalić, ile mają kończyn i czy chropowata okrywa jest ich naturalnym owłosieniem, czy może rodzajem odzieży. Mieliśmy wrażenie, że obserwujemy pochod... zasp śniegowych, które niepojętym cudem ożyły. W mojej głowie tłuło się jakieś niewyraźne skojarzenie, ale nie umiałem go teraz sobie do końca uzmysłować. Co innego mnie zresztą zajmowało. Podobnie jak kierowcy, te stworzenia powinny nas widzieć i jakoś zareagować, a jednak nie reagowały. Zmierały do czarnego trapu i po nim sunęły do wnętrza Rzeczy. Czy był to ich dom, czy statek, czy jakaś aparatura do przenoszenia się w czasie? Znikały w środku, a gdy wszedł tam ostatni, trap został wciągnięty i Rzec otoczyła się mgłą. Potem chyba odleciała, bo gwiazdy, dotąd zasłonięte przez nią, pojawiały się dośrodkowo, aż wreszcie zajęły całą uprzednio zasłoniętą część nieba. Równocześnie mróz zelżał. Zrobiło się cieplej, temperatura rosła. Z węża odchodzącego od ciężarówki unosiła się już tylko wąta smużka oparu, kierowcy stali nieruchomo.

— Hej! — zawołałem, gdy ustąpiła sztywność szczęk. Odsunąłem szalik z ust. — Hej! Chcecie zamarnąć na śmierć?

Nie zareagowali w żaden sposób. Zdezorientowany spojrzałem na Olę, potem, na ciężarówkę. Pokrywającą ją szron nie stopniał, było na to zbyt zimno, ale dziwnie ściemniał. Zmieniał kolor nieomal w oczach. Podszedłem i przesunąłem palcami okrytymi skórzaną rękawiczką po boku wozu. Zapaliłem latarkę. Na czarnej skórze został rdzawy ślad.

— Ona rdzewieje! — zawołałem do siostry. — Rdzewieje w przyspieszonym tempie!

Ola przeskoczyła przez deski i, zanim zdążyłem zaprotestować, podbiegła do kierowców. Zruciła pierwszemu z nich kaszkiet z głowy.

— To wcale nie są ludzie! — krzyknęła.

Zostawiłem ciężarówkę i podszedłem do nieruchomych, jakby zastygłych mężczyzn. Na pierwszy rzut oka przypominali zwykłych robotników, ale martwota ich twarzy i dziwnie szkliste spojrzenia nie były naturalne. Dotknąłem policzka pierwszego. Był lodowaty. Drugi, ten któremu Ola zruciła kaszkiet, miał czarne włosy, które na samym czubku głowy pokrywał czerwonawy nalot. Powoli rozpełzał się niczym pleśń obserwowana na filmie z naukowej kamery. Pokonując obawę i wtręt sięgnąłem i dotknąłem rdzawej substancji. Rozsypywała się w palcach na proszek, wierzch głowy kierowcy zapadał się i kruszał.

— Jakiś chemiczny mechanizm samozniszczenia. To roboty.

Ola zajrzała w podziemia przez wciąż otwartą klapę i zaświeciła do środka swoją latarką.





— W nogi! — wrzasnęła. Posłuchałem jej zupełnie odruchowo, a zanim oddaliliśmy się o pięćdziesiąt kroków, nastąpiło tąpnięcie, jakby bezgłówna implozja, i cały środek placu zapadł się w górę szczątków, które frunęły w górę, a następnie opadły z gruchotem niewielkiej lawiny. Ciężarówka i kierowcy nadal stali, nie dosięgła ich minimalna wytworzona fala uderzeniowa. Technologia, której użyto, była niewiarygodnie zaawansowana – coś pochłonęło niemal całą uwolnioną wskutek wybuchu energię kinetyczną.

— Skąd wiedziałś? — spytałem bez tchu. Dopiero teraz zacząłem trząść się z przerażenia.

— Zobaczyłam dziwne, pulsujące urządzenie i usłyszałam miarowe postukiwanie — wyjaśniła. — Od razu pomyślałam, że to rodzaj bomby. Zareagowałam instynktownie. — Była spokojna, jak zawsze i niemal słyszałem, jak jej genialny mózg rozpracowuje zagadnienie, zamiast tracić czas na coś tak bezwartościowego jak emocje. — Nie mamy już czego tu szukać, braciszku. Wracajmy do domu.

Obejzeliśmy się po raz ostatni. Roboty przerdzewiały już do połowy, na ziemi stały jeszcze jedynie ich nogi i biodra. Ciężarówka również niszczała w oczach, osypując się na ziemię rdzawym prochem. Dowodów nie było i nie będzie. Może i lepiej.

Kiedy opiliśmy się już gorącą herbatą i wygrzaliśmy nogi, zaczęliśmy omawiać to, czego byliśmy świadkiem tej nocy. I tak nie moglibyśmy usnąć. Kto mógłby?

— Moim zdaniem te istoty przybyły z głębokiej próżni — mówiła Ola. — Są przyzwyczajone do mrozu, o jakim my nie mamy nawet wyobrażenia. Nasza planeta wydawała im się pewnie rozgryzanym piecem hutniczym

— To czego tu szukali? — spytałem z powątpiewaniem. Wciąż nie miałem pewności, czy oboje jesteśmy przy zdrowych zmysłach.

— Być może byli rozbitekami — mówiła dalej Ola. — Zdołali zbudować sobie schron i skonstruować roboty na wzór Ziemi. Potrzebowali stałego obniżania temperatury za pomocą, na przykład, ciekłego azotu. Jak go zdobywali, możemy tylko gdybać, ale robili to skutecznie, jak widziałeś.

Pokręciłem głową.

— Dlaczego nas zignorowali? Światło było marne ale musieli widzieć...

— O, wcale niekoniecznie. Nie wiemy, na jakiej zasadzie działają ich zmysły. W jakim zakresie widma widzą. My nie widzimy podczerwieni i nadfioletu, oni mogą być jeszcze bardziej upośledzeni. Albo odwrotnie — Ola wzięła z szuflady zeszyt i długopis. Ledwie mogła utrzymać go w podmrażanych mimo rękawic palcach, ale zaczęła rysować wzory i pisać skomplikowane wyliczenia. — Naszą obecność mogli postzegać jako nieznosny dla nich blask. Być może widzą tak wszystkie istoty ciepłokrwiste, a więc tak samo ludzi, jak na przykład psy czy jelenie. Zaryzykowałabym twierdzenie, że ONE, kimkolwiek są, nie zdawały sobie sprawy z tego, iż obserwuje ich dwoje rozumnych mieszkańców Ziemi.

— Wiedzieli jednak, jak wyglądamy.



20

— Mogli się tego dowiedzieć z zapisów ich aparatury. Podobnie jak szczegółów o naszym życiu. Dlatego roboty były tak do nas podobne poza jednym. Nie zmieniały odzieży na zimową, gdy było trzeba. Nie potrzebowały tego.

Dolałem sobie herbaty.

— Szczęśliwe zakończenie — mruknąłem. — Wyprawa ratunkowa zdążyła na czas. ET go home.

— Martwi cię to?

— Chciałbym z nimi porozmawiać.

— O czym? — moja siostra wzruszyła ramionami. — Bądźże poważny. Najprawdopodobniej nie mielibyśmy ani sposobu porozumienia, ani jakichkolwiek wspólnych tematów. Stoń i delfin prędzej znalazłyby wspólny język.

Zapewne miała rację. Geniusz Oli nie ulegał wątpliwości, bo choć po raz pierwszy odezwała się w dziesiątym roku życia, jej IQ według testów Mensy wynosiło 161 punktów i wróżono jej wielką przyszłość naukową. Była jednak żałośnie bezradna w kwestiach dotyczących ludzkich emocji i zupełnie pozbawiona fantazji. Ja w porównaniu z nią miałem IQ mądrzejszej małpy, a mimo to ujrzałem oczami wyobraźni wcześniejszą wizytę tych istot na Ziemi. Czy rzeczywiście już kiedyś mogły tu być? Na przykład – w epoce lodowcowej? Może interesowały się z jakichś powodów naszą planetą? A może nawet ingerowały w jej rozwój dla jakichś własnych, niepojętych dla nas korzyści? Nie zadałem żadnego z tych pytań. Milczałem.

Wiedziałem już, z czym kojarzyły mi się wchodzące niezdarne po trapie postacie. Każdej zimy oglądałem ich niezdarne wykonane podobizny na podwórkach i placach zabaw. Były w śnieżnych miesiącach klasyczną częścią każdego osiedla i parku. Kręcono o nich filmy i pisano książki. Czy ONI o tym wiedzieli? Czy wiedzieli? 🐼





MACIEJ SZYMCZAK

## PIRAMIDA

Po wielu dniach żmudnej wędrówki dotarłem wreszcie do upragnionego celu. Zaczęłem już tracić nadzieję, błądząc w tropikalnym labiryncie, gdzie duszne, parne powietrze wyciskało ze mnie ostatnie krople potu. Już miałem się poddać i zakończyć ekspedycję, gdy nagle mój przewodnik wypatrzył zarys budowli, wyrastającej ponad wiecznie zielone korony drzew. Ruszyłem czym prędzej w jej kierunku, torując sobie drogę ostrą jak brytwa maczetą. Tych kilkanaście dni spędzonych w lesie deszczowym było dla mnie prawdziwym horrorem – doświadczeniem, o którym pragnąłem jak najprędzej zapomnieć.

Na widok piramidy moje podniecenie sięgnęło zenitu. W tym momencie liczyło się tylko moje odkrycie; być może największe w tej dekadzie, a może nawet najdonioślejsze w historii archeologii mezoamerykańskiej. Cieszyłem się jak dziecko, podziwiając jej surowe kształty. Puszczą niemal w całości ją wchłonęła, zachłannie ukrywając przed światem tę wspaniałą budowlę. Grube pnącza roślin napierały na krawędzie piramidy, wspinając się na sam szczyt, który wystawał parę metrów ponad lasem. Mówią, że dżungla pochłonie wszystko, a jednak budowla Majów skutecznie oparła się jej bezlitosnej żarłoczności. Nie wierzyłem we własne szczęście. Lata żmudnej pracy i niekończących się poszukiwań – i jest! Nareszcie! Klęczałem u jej podstawy, nie dowierzając własnym oczom. Przepocona koszula kleiła się do pokąsanej przez komary klatki piersiowej. Natrętne robactwo wciąż nacierało, starając się pożreć mnie żywcem, a niewidzialne pasożyty zajmowały kolejne milimetry mojego ciała. Zapomniałem jednak o tych małych krwiopijcach, o wszystkich namolnych stworzeniach zamieszkujących Honduras. Osiągnąłem swój cel i teraz mogłem nacieszyć oczy nieodkrytą dotąd piramidą.

Kolorowe pnącza oplatały kwadratową podstawę budowli Majów, kamienne głowy demonów spoglądały na mnie z rzeźbionej w kamieniu fasady. To było prawdziwe arcydzieło starożytnej sztuki sakralnej, nie mające sobie równych wśród wszystkich znanych mi świątyń mezoamerykańskich. Imponowała swym rozmiarem, to prawdopodobnie największa piramida w Ameryce Łacińskiej. Zbliżyłem się do monumentu, gładząc wyszlifowane ściany tego cudu starożytnej inżynierii. Świadomość, iż jako pierwszy obcuje z tą nieodkrytą wcześniej budowlą, wypełniała mnie bezkresną radością. Na kamiennych blokach budowli odkryłem niewyraźne hieroglify, wytarte przez czas rysunki, przedstawiające mężczyzn tańczących wokół dziwacznie wyglądających postaci. Zdeformowane karły z wielkimi oczyma musiały przedstawiać jakieś indiańskie demony. Na obrazach widnieli kapłani zarzynający swe ofiary na wszelkie możliwe sposoby. Artysta w zmyslny sposób uwy puklił szczegóły rytualnych mordów. Porozrywane korpusy, wydarte serca i krwiste węże tryskające z bezgłowych tułowi. Sporo krwi musiało zostać tutaj przelanej w minionych epokach.



Nie uważałem jednak tych praktyk za niehumanitarne czy barbarzyńskie. Pasjonowała mnie ich okrutna z punktu widzenia Europejczyka kultura. Nikt nie poświęcił tyłu istnień dla swych bogów co ludy mezoamerykańskie, a Majowie zdawali się przez dłuższy czas w tych praktykach wieść prym. Przyczyny sakralnych mordów pozostały tajemnicą, do dziś motywy kierujące mieszkańcami tej krainy są nieznane. Nigdy nie dawałem wiary tym bredniom, głoszonym przez dzisiejszych quasi-naukowców, patrzących z góry na ich cywilizację i nazywających Majów dzikusami. To była wysoce rozwinięta kultura, której wiedza astronomiczna znacznie przewyższała ówczesne europejskie standardy. Oni doskonale znali toponimie niebios i rozumieli mechanizmy rządzące naszą galaktyką. Majowie pozostawili potomnym kamienne kalendarze, fascynujące piramidy schodkowe i tajemnicze pismo klinowe. Tylko prawdziwy ignorant mógł uważać ich cywilizację za prymitywną.

O świątyni skrytej w samym sercu dżungli usłyszałem po raz pierwszy od indiańskiego szamana. Zwano ją „bramą bogów”, ponoć tutaj pierwszy raz zstąpili na ziemię, przekazując ludzkości swoją wiedzę. Długo szukałem śladów mitycznej budowli, aż w końcu znalazłem przewodnika, który zgodził się mnie tam zaprowadzić. Oplotłem go sowicie, starannie przygotowując się do tej morderczej wyprawy. Zaryzykowałem wszystko – i odniosłem prawdziwe zwycięstwo. Niewiarygodne, że w tak idealnym stanie świątynia dotrwała do dzisiejszych czasów!

Juan wyłonił się z leśnej gęstwiny z dwoma tragarzami, dając do zrozumienia, iż nie powinniśmy tutaj zostawać na noc. Wyjaśniłem mu, że muszę dokładnie zbadać piramidę i może to potrwać parę dni. Poprosiłem go o rozbicie obozu, oferując dodatkową gotówkę. Stary Indianin kiwnął pomarszczoną głową, przystając niechętnie na moją propozycję. Mogłem rozpocząć swoje badania. Wspiąłem się po wąziutkich schodach – zauważając, iż moje stopy z trudem mieszczą się na kamiennych stopniach.

Muszę przyznać, że droga na szczyt wymagała nie lada kondycji fizycznej. Budowla wznosiła się pod niezwykle stromym kątem, parłem naprzód z trudem zachowując równowagę. Chwila nieuwagi, a moje spalone tropikalnym słońcem ciało potoczyłoby się w dół, łamiąc na twardych stopniach wszystkie kości. W końcu wdrapałem się na samą górę, przykurczony niczym pies. Z szerokiej platformy na szczycie piramidy rozciągała się bajeczna panorama na zalesioną okolicę. Zielona równina, niczym gęsty tropikalny dywan, rozciągała się aż po sam horyzont, sięgając odległych szczytów górskich. Byłem sam pośród oceanu drzew kuczukowych, niebotycznych palm i egzotycznych zarośli, niczym rozbitek uwięziony na bezludnej wyspie. W samym centrum platformy tkwił otwór, prowadzący do podziemnej komnaty. To stąd najpewniej wyfaniali się kolorowo przystrojeni kapłani, by odprawiać swe makabryczne rytuały. Czułem niemal zapach krwi, śmierci i rozkładu...

Wrażenie to spotęgowało się po tym, jak spuściłem się na linie do podziemnej sali. Promienie słoneczne wpadały przez niewielki otwór, oświetlając tylko część pomieszczenia.



Wystrój komnaty był niedostępny dla oczu profanów. Rozrastający się cień spowijał posępnym mrokiem przestrzeń wokół mnie, zmuszając do zapalenia knota małej, oliwnej lampki. Gdy nikły płomyk rozbłysnął, oświetliwszy kamienne sklepienie i udekorowane czerwono-niebieskim barwnikiem ściany, po raz pierwszy w życiu ujrzałem ją na własne oczy. Leżała na wykutej w skale półce, zachwycając swym idealnie gładkim kształtem. Oniemiałem. Me ciało drgało z podniecenia, a członki odmawiały współpracy. Kryształowa czaszka; więc to nie mit, one istnieją naprawdę! Zbliżyłem się ostrożnie, przyglądając się temu zdumiewającemu artefaktowi. To może być największe naukowe odkrycie tej dekady!

Z nabożną ciężą gładziłem krawędzie czaszki, zachwycając się geniuszem jej twórców. Wykonana była niezwykle precyzyjnie, do złudzenia przypominała ludzką anatomię. Połyskiwała lekko, emanując dziwnym światłem. Wykonanie tego dzieła sztuki zdawało się przewyższać umiejętności ówczesnych ludzi. Żadnych nacięć, pęknięć czy łączeń – idealny kształt wyciosany z jednej bryły kwarcu, precyzja jej wykonania zawstydziłaby najzdolniejszych współczesnych rzemieślników. Mój zachwyty był bezgraniczny, każdy dotyk kryształowego dzieła sztuki sprawiał mi nieopisaną radość. Z początku nie zauważyłem, że artefakt świeci coraz silniejszym światłem, by w końcu zalać wnętrze komnaty oślepiającą falą jasności.

W głowie mi zawirowało, chyba zwiromotałem, w jednej chwili straciłem poczucie czasu i przestrzeni. Nie wiem, co się wtedy ze mną stało. Nie umiem sobie tego racjonalnie wytłumaczyć; pamiętam, że w tamtej chwili ogarnął mnie prawdziwy lęk, jakbym stanął naprzeciw władcy stworzenia, spoglądając w mroczną paszczę wszechświata. Dryfowałem w próżni, widząc zarys nieznanego mi planety o zielonkawej poświacie. Unosiłem się bezwładnie, zdany na kaprys ślepych sił kosmosu. Powoli zbliżałem się do atmosfery obcego globu, czując jak siły grawitacji zaczynają przejmować kontrolę nad moim ciałem. Wtem czas jakby się rozciągnął, a przestrzeń wokół mnie zniekształciła. Zaczęłam spadać. Z ogromną prędkością leciałem przez gazowe chmury wypełnione siarką. Ujrzałem zamazaną sylwetkę oceanu, który wyglądał jak falujący zbiornik wypełniony rtęcią. Wtem jakaś potężna siła zgmiotła me ciało, które złożyło się niczym pomięta kartka papieru.

Znalazłem się z powrotem w dżungli. Tłum pochodni unosił się nad moja głową. Przytłumione dźwięki wydobywały się z gardeł półnagich mężczyzn o oliwkowej skórze i orlich nosach. Tłoczyli się pod piramidą, oświetlając pochodniami jej kształty. Dym z kadzideł unosił się w powietrzu, przesłaniając szczyt monumentalnej budowli. Ruszyłem, przedzierając się przez tłum, który w kółko recytował usypiającą mantrę. Wspiąłem się na szczyt, zostawiając na dole migoczące światła płonących pochodni. Poczułem irracjonalny lęk, coś wewnątrz mnie kazało mi zawrócić, nie wchodzić do wnętrza komnaty kapłanów.

Mimo wszystko uległem tej dziwnej pokusie, która ciągnęła mnie niczym magnes w stronę zielonkawego światła, wydobywającego się przez otwór na szczycie piramidy. Zszedłem po schodkach i znieruchomiałem z przerażenia. Scena, którą ujrzałem, przeszła moje najdalsze wyobrażenia o istocie grozy. Wystrojeni w kolorowe pióropusze kapłani





tłoczyli się przy stosie ofiarnym. Barwione ochrą twarze wyrażały skupienie i powagę. Na kamiennym stole ułożone były zwłoki tubylca z otwartym korpusem. Wyłamane żebra wystawały z klatki piersiowej, stercząc niczym odnóża leżącego na grzbiecie karalucha. Zakrwawione kawałki mięsa zwisały z białych niczym kreda kości. Żuchwa ofiary była rozwarta do granic możliwości, zupełnie jakby nieszczęśnik umarł wydobywając z siebie ostatni, przeraźliwy krzyk. Ale nie to było najgorsze.

Gdy ujrzałem to COŚ grzebiące cienkimi niczym pnącza bambusów rękoma w ciele ofiary, omal nie oszalałem! Wysoka na trzy metry, chuda postać ledwo mieściła się w pomieszczeniu, pocierając swoją stożkową głową o sklepienie świątyni. Wątpła istota o szaro-zielonkawej skórze miała nieforemną czaszkę przypominającą owada, zamiast oczu posiadała dziesiątki małych, połączonych ze sobą rogówek, zlewających się w dwie ciemne plamy zajmujące większą część głowy tego stworzenia. Istota miotła się niezgrabnie, próbując zachować równowagę na swych przypominających szrudła nogach. W zakończonej szponami dłoni trzymała wciąż bijące serce.

Obok niej tłoczyły się inne postacie o podobnie szkaradnej fizjonomii, lecz znacznie mniejsze. Humanoidy wzrostu karłów pakowały we fluorescencyjne worki organy wewnętrzne. Jeden z tych Niziołków ciął dziwnym nożem czerep nieszczęśnika, ściągając z niego zakrwawiony skalp. Po chwili obślizgły, galaretowaty mózg ujrzał światło dzienne, lądując w szklanym naczyniu emanującym radiacyjnym światłem. Niziołki komunikowały się ze sobą językiem przypominającym szelest pszczoł. Śniadokórzy kapłani stali w milczeniu, obserwując z uwagą tę starożytną wiwisekcję. Skryba uwieczniał na papirusie tę wiekopomną scenę. Ze szczegółami utrwalił makabryczne detale budzące grozę przedstawienia. Wysoka, przypominająca bezskrzydłą osę, istota podarowała starszyźnie plemienia kryształową czaszkę. Tę samą, którą jeszcze niedawno znalazłem w zapomnianej przez ludzi i czas piramidzie. Byłem jakby poza czasem i przestzeniem, niczym duch obserwujący przeszłe wydarzenia. Nagle wewnątrz komnaty zabłyśło silnym, oślepiającym światłem. Przestzeń wokół mnie ponownie zakrzywiła się, jasne rozbłyśki niczym iskry tańczyły naokoło mnie, przynosząc mnie do innej rzeczywistości.

Obudził mnie wiatr wdzierający się do komnaty świątynnej. Obok mnie na kamiennej posadzce leżała gasnąca lampka oliwna. Zerwałem się na nogi, rażony nagłym atakiem paniki. Rzuciłem się do ucieczki niczym ranny zwierz. Błądząc niemal po omacku, dostizegłem rytualne malowidła na ścianach. Słabe światło latarni odkrywało przede mną ich potworne detale. Rysunki przedstawiały kapłanów zarzynających jeńców na kamiennym ołtarzu. Jeden z obrazów ukazywał odzianego w kolorowy pióropusz szamana, dzierżącego w dłoni serce. Robił to w identyczny sposób jak istota z wizji! Zebrałem w sobie resztki sił, aby zdusić w zanadrzu nagły atak paniki. W końcu udało mi się wypełznąć na zewnątrz, z dala od tej przeklętej komnaty. Odczułem prawdziwą ulgę. Kryształowa czaszka powinna zostać w tej zapomnianej przez Boga i ludzi piramidzie. Ten niebezpieczny artefakt służył przecież do komunikowania się z tymi istotami...



Wokół mnie panowała złowieszcza cisza. Zacząłem nawoływać przewodnika, schodząc ze szczytu piramidy. Do dziś nie mam pojęcia, jak udało mi się bezpiecznie zejść na ziemię, gdy cała dżungla była spowita mrokiem. Nawoływałem Juana, ale nie było go nigdzie w pobliżu. Natrafiłem na ślad dogasającego ogniska i powywracane namioty zaimprovizowanego wcześniej obozowiska. Coś musiało się wydarzyć! Tragarze uciekli w panice, zostawiając cały dobytek na ziemi. Nie wzięli ani strzelb, ani maczet, co było w tych warunkach geograficznych równoznaczne z samobójstwem! Musieli śmiertelnie się czegoś wystraszyć. Obserwowałem jak otepiali pobojuwisko po naszym obozowisku, starając się zrozumieć, co właściwie tutaj zaszło. Kim były przeraźliwe istoty z wizji? Co przekazały Majom w dawnych czasach? I czym była kryształowa czaszka, którą owadopodobne istoty im podarowały?

Zastanawiałem się nad genezą tych istot, gdy nagle na niebie pojawiło się TO. Ujrzałem nad głową dziwny, trójkątny kształt, emanujący zielonkawą poświatą. Obiekt zawisł parę metrów nad ziemią, nie wydając z siebie absolutnie żadnych dźwięków. Wiązka światła wystreliliła w moim kierunku, czyniąc me ciało zupełnie bezwładnym. Próbowiałem krzyczeć, ale żaden dźwięk nie mógł się dobrać z mojego gardła. Unosiłem się w powietrzu kompletnie sparaliżowany, przybliżając się do metalicznego pojazdu. Ma świadomość zgasła, niczym fala roztrzaskująca się o skałę morskiego urwiska.

\* \* \*

— Co było dalej, Panie Piotrowski? — śniadolica lekarka poprawiła okulary na nosie, badawczo wpatrując się w swojego pacjenta.

— I wtedy — kontynuował podniecony mężczyzna odziany w szpitalną, białą pidżamę — znaleźli mnie całkiem nagiego w centrum Tegucigalpy. Byłem skrajnie odwodniony i niedożywiony, a luka czasowa w mojej świadomości wskazywała, iż zostałem porwany na tydzień! — kizyknął z obłudą w oczach.

— Te... Istoty. Co one właściwie panu zrobiły?

Mężczyzna spojrział lękliwie w okno. Bolesne wspomnienia trawiły go od środka. Trzęsącym się głosem odparł:

— Przeprowadziły wiwiskację na moim ciele. Ja widziałem





wszystko... Leżałem półprzytomny na jakimś stole, byłem sparaliżowany od stóp do głowy. Widziałem, jak otwierają moją klatkę piersiową, jak... Jak wyciągają po kolei wszystkie narządy, jak je ważą, nawet mózg! Nie wiem, jak to możliwe, przecież powinienem już nie żyć! Ale widziałem te istoty, szkaradne owadopodobne humanoidy. Ich bezwłosą skórę pokrywała szara łuska, a najgorsze były oczy! Boże, te oczy! Zimne i czarne niczym otchłań kosmosu. Oni sprawiali mi niewyobrażalny ból! Widziałem, jak zdejmują skalp z mojej czaszki, czułem, jak grzebią mi wewnątrz głowy tymi swoim odnóżami!

Mężczyzna skulił się w kłębek wpadając w katatoniczny stan. Ślina się cała, zasłaniając dłońmi dygoczącą twarz.

— Panie Piotrowski! Panie Piotrowski! — krzyknęła, wołając pielęgniarkę. Po chwili środek uspokajający został wstrzyknięty w jego ciało. Drgawki momentalnie ustały, napięcie opadło, ciało się rozluźniło. Bładoskóry pacjent znów oddychał normalnie.

Flores Garcia, ordynator jedynego w Hondurasie szpitala psychiatrycznego, patrzyła litościwie na tajemniczego pacjenta. Nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów, ale mężczyzna z pewnością pochodził ze wschodniej części Europy. Ponoć jest obywatelem Polski i pracownikiem warszawskiego instytutu archeologicznego. Nikt jednak w polskiej ambasadzie nie słyszał o profesorze Jędrzeju Piotrowskim. Nie udało się ustalić jego tożsamości. Lekarzkę intrygowało trójkątne znamię na lewym ramieniu delikwenta. Ponoć te istoty wszczepiły mu tam jakiś nadajnik, chip czy coś w tym stylu. Biedny szaleniiec bredził coś o nieudanym eksperymencie i nowym wirusie, który wkrótce opanuje świat. Świat, który ma zostać oczyszczony z ludzkiego gatunku. Flores spojrzała niemal czule na drzemiącego pacjenta. Pokryta siwą szpecziną twarz nosiła ślady wielu traumatycznych przeżyć. Uczyni wszystko, co w jej mocy, aby pomóc temu nieszczęśnikowi.

Opuściła izolatkę chorego, udając się do swojego gabinetu. Zaparzyła swoją ulubioną kawę i włączyła odbiornik radiowy. Spiker relacjonował ostatnie wydarzenia z kraju wyraźnie podnieconym głosem:

— *Tajemniczy wirus wciąż zbiera śmiertelne żniwo. Jak dotąd naukowcy nie są w stanie zapanować nad rosnącą epidemią krwawej gorączki. Pandemia rozszerza się w zaskakującym tempie, opanowując kolejne stany Hondurasu. Najgorsza sytuacja panuje na północnych rubieżach, tuż przy granicy z Gwatemalą. Region ten znany jest przede wszystkim z budowli starożytnych Majów....*

Lekarka ściszyła radio, czując jak zalewa ją fala gorąca. Poczła dreszcz niepokoju. Włączyła wentylator, mimo to pociła się jak mysz. Woda ciekła z niej ciurkiem przez otwarte pory w skórze. Do głowy przyszła jej szalona myśl. Może Pan Piotrowski nie był wcale obłąkany? Daj Boże, żeby był! Upiła łyk kawy, z niepokojem wysłuchując dantejskich wieści z honduraskiej prowincji... ♣





GRZEGORZ SZCZEPANIAK

## MOJE SPOTKANIA Z UFO W PRL-OWSKIEJ TELEWIZJI

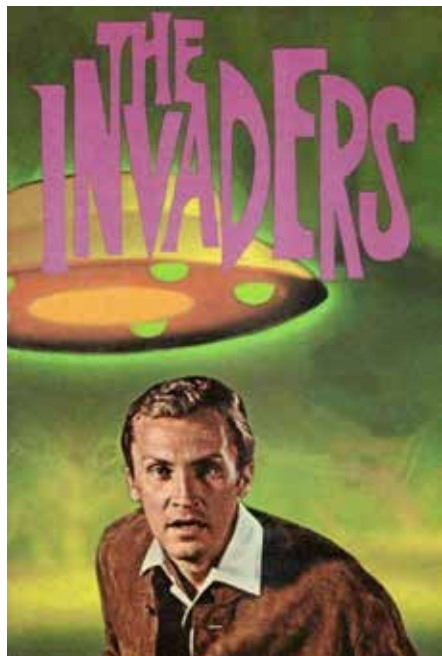
Fantastyka towarzyszyła mi od samego dzieciństwa. Zanim się nauczyłem czytać i rozsmakowałem w tego typu literaturze, naoglądałem się wielu filmów sf puszcanych w polskiej telewizji między drugą połową lat 70. i początkiem 80. Do kina zacząłem bowiem samodzielnie chodzić dopiero w starszych klasach szkoły podstawowej, kiedy triumfy święciły megaprodukcje spod znaku Kina Nowej Przygody.

PRL-owska telewizja, choć pozbawiona dostępu do filmowych nowości, kupowała na kilogramy dawno przebrzmiałe hity zza żelaznej kurtyny, dobierając repertuar w sposób, którego przebiegłości jako dziecko nie dostrzegałem. Otóż za żadne skarby nie dało się oficjalnie obejrzeć w niej przygód Jamesa Bonda, zwłaszcza tych, w których wodził za nos radzieckich generałów KGB z Andropowem na czele, za to telewizyjną wersję *Planety małp* z 1974 roku, mieniącą się wizją zniszczonych USA opanowanych przez małpy, prezentowano w najlepszej porze oglądalności.

Dziś nie jestem już w stanie przypomnieć sobie, czy pierwszym serialem sf, który widziałem w TVPRL, była wspomniana *Planeta małp* czy bardziej związana z tematem tego numeru Karła – seria *Najeźdźcy* (oryg. *Invaders*). Na Youtubie można znaleźć jeśli nie cały serial, to znakomitą większość jego odcinków nakręconych w latach 1967–1968. Jego fabuła była niezwykle pretensjonalna (w PRL-u nazywano takie

dzieła „produkcyjniakami”) i w sposób oczywisty nawiązywała do działalności senatora McCarthy'ego. Podobnie jak w wypadku *Inwazji porywaczy ciał* komuniści ukrywali się pod postacią obcych, którzy przyjęli ludzką powłokę. Nie mogą jednak odżywiać się ludzkim pokarmem i co jakiś czas muszą się po prostu naładować. Mieszkając wśród ludzi, stają się ważnymi członkami społeczeństwa i przygotowują grunt pod ostateczną inwazję, która pozwoli im przejść panowanie nad Ziemią, bo akurat ich świat stał się już kompletnie jałowy (tu kłania się *Wojna światów* Wellsa). I wszystko poszłoby dobrze (nie pamiętam już, czy jednym z najeźdźców nie był prezydent USA lub ktoś z jego najbliższego otoczenia), gdyby nie architekt David Vincent, który pewnego razu, podróżując zbyt długo, zasnął za kierownicą, zjechał z trasy i zobaczył lądowanie spodka kosmitów. Rozpoczyna on wówczas swoją krucjatę, której celem jest zdekonspirowanie przybyszów i ich niecnych planów. Oczywiście napotyka same problemy, bo albo nikt mu nie wierzy, albo ten, do kogo się zwraca, jest... kosmitą. Pamiętam, że poszczególne odcinki trzymały w napięciu, a moim ulubionym motywem był spektakularny sposób rozstawiania się obcych z życiem – w oslepiającym błysku zamieniali się w kupkę popiołu.

Gdyby się głębiej zastanowić nad decyzją o dopuszczeniu tego serialu do emisji w komunistycznej telewizji, trudno byłoby się oprzeć wrażeniu, że mamy do czynienia z sabotażem



lub co najmniej prowokacją. Przecież McCarthy był jednym z demonów PRL-owskiej historiografii, niewiele mniejszym od Hitlera czy niemieckich rewizjonistów Hupki i Czai. A jednak film wyświetlany był w tym samym co *Planeta* familijnym paśmie najwyższej oglądalności. Być może, słusznie, cenzor założył, że polski widz nie dostrzeże w tym serialu prostackiej metafory (w końcu amerykańskie polowanie na czerwone czarownice były doświadczeniem w Polsce egzotycznym). Za to film przynosił wartą ryzyka wizję USA wpadających w łapy kosmitów.

Zimnowojenne paliwo wypaliło się chyba wcześniej, niż zakładali twórcy serialu, który zakończył się po drugim sezonie (1968 to rok rewolucji hippisów i zapowiedź zmiany paradygmatu: zamiast szukać prawdy – znaleźć samospętnienie). Nawet w swoim rodzinnym

kraju *Najeźdźcy* byli przedmiotem niewybrednych żartów, a najłagodniejszą opinią na jego temat była taka, że więcej w nich fikcji niż nauki. Mimo to, na fali sentymentalnych powrotów, w latach 2007–2008 wypuszczono ten serial na DVD, stąd być może jego obecność na „znanym kanale z filmami i muzyką”.

Kosmici nie mają na Ziemi dobrej prasy – w literackich i filmowych przedstawieniach występują najczęściej w roli bezlitosnych najeźdźców, szerzących śmierć i pożogę, pożądających naszych źródeł energii i kobiet, słowem: potworów. Mistrzami w monsteryzacji obcych są oczywiście Japończycy. Spośród dziesiątek filmów na ten temat jednym z pierwszych, który obejrzałem, był obraz, którego tytułu nie jestem w stanie ustalić. Zawsze wydawało mi się, że w komunistycznej TV szedł on jako *Przybysz z Kosmosu*, ale kiedy teraz zacząłem szukać jakichkolwiek informacji na jego temat, okazało się, że współcześnie nazwa ta kojarzona jest z produkcją, która nie ma nic wspólnego z tą, którą chciałbym tu przypomnieć. Oryginalny jej tytuł brzmi *Uchu daikajū Girara*, a w jednym z jego amerykańskich tłumaczeń czytamy *The X from Outer Space*. Obraz powstał w roku 1967 i opowiada historię japońsko-amerykańskiej misji kosmicznej, która z wyprawy na Marsa przywozi kilka artefaktów, w tym bliżej niezidentyfikowany okaz kulistej materii. W kontakcie z ziemską energią przeradza się ona w potwora nazwanego Gilalą (tu ciekawostka: japońskie „r” zamienia się w polskim tłumaczeniu w „l”, podobnie jak w wypadku Godzilli – Gojiry). Przybysz z kosmosu rośnie do gigantycznych rozmiarów, żywiąc się energią produkowaną przez japońskie elektrownie i niczego sobie nie robiąc z wystrzelonej do niego w dużych



ilościach ziemskiej amunicji z zabawkowych modeli wojskowych wyrzutni czy samolotów. Kiedy już się wydaje, że z Japonią kaput, mądrzy naukowcy wpadają na pomysł, że pokonać monstrem mogą jedynie pociski wykonane z materii, z której zostało ono stworzone (Tolkien! Tolkien!!). Kolejna misja powraca z gilałium, a wyprodukowane z niego bomby redukują potwora do jego pierwotnej postaci – kulistego kawałka kosmicznej materii.

Film musiał być dla mnie nie lada przeżyciem, zresztą nie tylko dla mnie, bo większość kolegów z klasy go oglądała i żywo dyskusowaliśmy o nim przez kilka następnych dni. Mnie zaś historia ta utknęła tak głęboko w głowie, że aż sięgnąłem po pióro, by dać jakoś upust swym emocjom. Napisałem wówczas opowiadanie o potworze z kosmosu, który pustoszy Europę, a wykańczają go dopiero specjalne pociski wykonane ze stopu metali nieznananych nawet dzisiaj tablicy Mendelejewa (poznana przez mnie kilka lat później wersja tablicy kończyła się na pierwiastku o numerze 104). Wykonałem nawet barwną ilustrację przedstawiającą ten nabój. Zeszytu z tym wiekopomnym dziełem nie potrafię odnaleźć, ale może to i lepiej.

Na perypetiach Gilali na japońskiej ziemi filmowi krytycy gatunku nie zostawiają suchej nitki. Chociaż zauważają, że jest to opowieść tak naiwna, a potwór tak monstrualnie śmieszny, że aż kochany. Spróbowaliby obejrzeć ten film, będąc dziećmi, to inaczej by śpiewali, cwaniacy!

Tu jeszcze jedna ciekawostka. Nie pamiętam z tamtych czasów, bym oglądał w polskiej TV *Godzillę*. Jej kontynuacji też nie, a *Superpotwór* i *Mechagodzilla* miały dopiero wejść do kin. Pamiętam natomiast jeszcze



jeden film o szkodzącym Japończykom potworze, który, dla odmiany, operował w morskich głębinach i niszczył okręty cesarstwa. Jednak żadnych szczegółów, które pomogłyby mi trafić na jego ślad, nie mogę sobie przypomnieć. Wydaje mi się jednak, że nasza telewizja wyświetliła wówczas więcej tego typu produkcji, tylko że ja ich już nie widziałem lub nie pamiętam.

Inną opowieścią związaną z tamtym filmem była plotka puszczana przez mojego kolegę, że widział kontynuację Gilali, tym się różniącą od wersji podstawowej, że tym razem trzeba było stawić czoła dwóm monstrom. Kolega był synem marynarza i czasami wakacje spędzał z nim w dalekomorskich rejsach, mógł więc widzieć taki film albo na statku, albo w jakimś portowym kinie, ale dr Google o podobnym obrazie milczy. Nie milczy jednak na temat współczesnej (z 2008 roku) reanimacji tematu pod

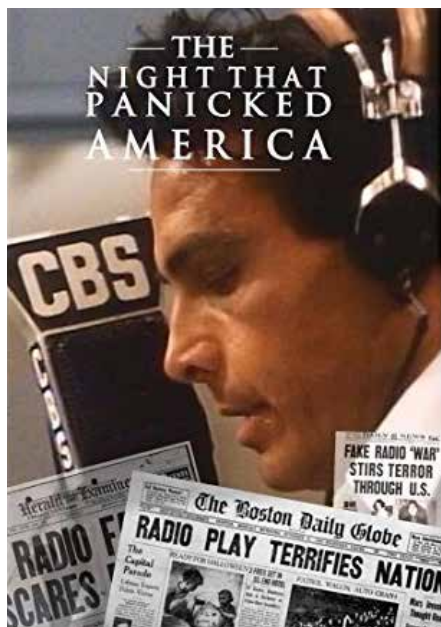




30

nośnym tytułem *Gilala kontratakuje*. Sam nie wiem, czy jestem jej ciekaw...

Pisząc o filmach poświęconych UFO oglądanych w PRL-owskiej TV, nie sposób pominąć tytułu, będącego matką wszystkich dzieł o przybyszach z kosmosu, czyli *Wojny światów*. Nie będę tu jednak się rozwodził nad klasycznym amerykańskim obrazem z 1953 roku, bo widziałem go już w wieku młodzieńczym, ale o telewizyjnym filmie z 1975 roku *Noc, która wstrząsnęła Ameryką* (oryg. *The Night That Panicked America*). Właściwie to i ten film obejrzałem dopiero pod koniec podstawówki i pamiętam go najślabiej, ale odnotowuję go, bo dokumentuje on, jak wielkie wrażenie na zwykłych odbiorcach potrafi wywrzeć odpowiednio podane dzieło fantastyczne. To z niego dowiedziałem się o słynnym słuchowisku Orsona Wellesa z 30.10.1938, którym autentycznie przeraził



Amerykę. Mimo zapowiedzi realizacja ta okazała się na tyle sugestywna, że słuchacze byli przeświadczeni, iż wydarzenia, z których relacji wysłuchują, mają miejsce naprawdę. Z jednej strony mamy tutaj zatem triumf radia, a w szerszej perspektywie – mediów, które z zapomnianego utworu literackiego potrafią ukreślić takiego fakenews, że ludziom odbiera rozum. Z drugiej zaś smutną konstatację, że odbiorcy to bezrozumna masa, która niczego nie wie, niczego nie pamięta i niczego nie rozumie: są bezradni wobec narracyjnej przemocy. Film jest zatem boleśnie aktualny, bo dziś, jeszcze częściej niż za czasów Wellesa, medialni harcownicy igrają z emocjami tłumów, nie po to wszak, by ich zabawić, ale – sterować ich zachowaniami.

Tak to banalne historyjki o UFO i inwazjach kosmitów przeradzają się w historie o ludzkiej kondycji, bo w ostateczności chodzi przecież o to, jak wobec zagrożenia zachowują się bohaterowie, kto się okaże kanałią, a kto stanie na wysokości zadania. ☹



WERONIKA „RYUUMEI” SŁABOSZ

## PODRÓŻE PROFESORA TICKLESA

\*\*\*

— Ale napewno zapakowałeś lornetkę dalekosiężną, Rito?

— Tak, psorze.

— Kurka jasna, to czemu mam przeczucie, że czegoś zapomnieliśmy?

Para wielkich, srebrzystych oczu wwiercała się w mężczyznę, latającym po pokoju niczym pieszczony prądem. Chłopiec, który mu się przyglądał, zastanawiał się jednocześnie, jakim cudem Psor nie wywala się o te sterty papierów, szkiców, niedokończonych projektów urządzeń, narzędzi i śmieci. Bardzo dużo śmieci. Cały pokój wyglądał niczym miniaturowe wysypisko, wypełnione po sprzątaniu biura jakiegoś starego wykładowcy akademickiego. A że mieszkał w nim Tickles, który ponad wszystkie inne wartości cenił naukę, to wygląd pokoju wołał o pomstę do nieba. W szczególności odłóżka z płatami tapeta, rozpadające się nieco półki w komodzie i stara sofa, której skórzana powierzchnia była obdrapana jak po ataku kota ze wściekłą.

— Psorze, chodźmy już. Damy sobie radę, nawet jeśli czegoś nie weźmiemy.

Mały mówił, poprawiając plecak, obficie wypełniony prowiantem. Psor nie pozwalał chłopcu zabierać sprzętu, który odpowiadała za wszystko, włącznie z życiem ich obu.

Sam mężczyzna popatrzył na dziecko z zatroskaną miną. Rito rósł mu oczach, nie był już tym samym zapłakany maluchem, którego przywiózł niegdyś ze swojej wyprawy. Był kosmitą, co było widoczne zaraz na pierwszy rzut oka. W końcu ziemskie dzieci nie mają raczej niebieskiej karnacji, ogona i włosów pokrytych jakby białą, oddychającą skórą.

— Najważniejsze że mamy papu i aparat, nie?

Rito uśmiechnął się, a Psor nie potrafił nie odzajemnić tego uroczego, nadal, dziecięcego uśmiechu.

Nie czekając na dalsze namawianie ze strony chłopca, Profesor Tickles podszedł do sporej maszyny w rogu pokoju. Metalowe urządzenie miało kształt lustra, otoczonego masą kabli, rur i przycisków. Psor poprawił nieco nadgryzione zębem czasu okulary i ze swojego plecaka wyciągnął klawiaturę, nawet nie zsuwając torby z pleców.

— To jaki dzisiaj wybieramy, Rito?

Chłopiec potarł nos i popatrzył w sufit, owijając się ciasniej szalikiem.

— Moich sąsiadów, proszę!

Tickles odgarnął długą, kasztanową grzywkę i wklepał w stare klawisze długi numer, pełen dodatkowych liter i znaków, zakończony numerem dwadzieścia siedem. Gdy skończył, metalowa brama rozbłysła, trzęsąc się nieco i wydając z siebie dźwięk zbliżony do wirowania staromodnej pralki.

— Rito, podpiąłeś się?



Psor spojział ma małego, który stał obok, pokazując mu podpiętą do paska mężczyzny linkę. Drugi jej koniec umocowany był do paska w zielonych szortach chłopca, szczerzącego się od ucha do ucha.

Brama zapiszczała, kiedy obaj spojrzeli na wodnistą substancję, pokrywającą mechaniczne lustro. Tickles złapał wystawioną w górę dłoń dziecka, a gdy w lustrze zobaczyli drzewa i chmury, bez znaku ostrzegawczego wskoczyli do niego.

Wylądowali w miarę gładko na jakiejś polance, otoczonej drzewami o żółtej korze i liściach w każdym odcieniu czerwieni. Lustro zamknęło się za nimi z trzaskiem, kiedy Rito otrzepał spodnie i stwierdził.

— To było jedno z naszych najlepszych lądowań, Psorze!

Profesor tylko pokiwał, znów poprawiając okulary i sprawdzając coś na miniaturowym, wypukłym ekranie, także wysuniętym z plecaka.

— Kurka jasna, ciut nas wysiudało, no ale cóż...

Błękitne oczy mężczyzny zaczęły wertować otoczenie. Byli na sąsiedce planety, z której pochodził Rito, dlatego klimat był do niej zbliżony. Drzewa wykształcały korę pokrytą żółtą mazią, żeby odstraszyć natłok roślinożernych kopytnych, licznie żyjących w tym układzie. Ich korony poruszały się spokojnie na wietrze, mieniając się czerwienią. Góry z daleka szklily się srebrnymi żyłami hordonium, metalu, występującego tylko w tej części galaktyki, a z którego Psor ubóstwiał wytwarzać swoje narzędzia. Zza krzewów czegoś na kształt ziemskich jabłek, patrzyła na nich mała kolonia gungli- zwierząt podobnych do krzyżówki kota i kangura z wielkim pióropuszem tęczowych piór na głowie.

Rito rozglądał się dookoła, energicznie podskakując, lecz gdy ujrzał w trawie coś ciekawego, szybko kucnął i zaczął.

— Psorze, Psorze! Patrz! Jak dremoki z mojej planety, tylko większe!

Tickles pociągnął nosem i kucnął obok dziecka, zachwycającego się kosmicznym krewnym rohatyńca nosorozca, siedzącym na liściu jakiejś sucholubnej rośliny. Żuk miał wielki, rogowaty pancerz w kolorze czerni, lecz przy świetle potyskujący na zielono oraz wielki, roztrojony róg, na którego środku widać było parę małych oczek, z przestrachem mierzących dwójkę przybyszów. Posiadał również o kilka par więcej odnóży, niż znane Psorowi owady, a na każdym z nich żuk miał coś na kształt skarpetek z krótkich włosków.

— Jest cudowny!

Psor szybko wyjął notatnik i począł z zapałem wypisywać w nim wszystkie nietypowe cechy żuka, które zaobserwował.





— Kurka jasna! On ma skrzydła ze...

Rito zaśmiał się, wiedząc, że Psor się wciągnął. Chcąc dać mu się wyładować, wstał i wyjmując z torby kanapkę z łososiem, zaczął sam oglądać polanę.

Jego łuskowaty ogonek latał na boki, gdy chłopiec patrzył na gungle, ciekawe przybyszów równie mocno, co przybysze ich. Żuł rybę, patząc na chmury płynące po niebie, o dziwnym kolorze barwionej na różowo waty cukrowej, takiej, jaką kiedyś kupił mu Psor na czymś, co sam nazywał „festiwalem”. Gdy skończył, przysssa się do butli z mlekiem, bo nikt tak jak Rito nie kochał mleka, i patrzył na czerwonawą trawę, która przy mocniejszym podmuchu wiatru zwijała się, żeby przy chwili spokoju prostować się w długie na kilkanaście centymetrów źdźbła.

— Rito, piękne znalezisko, kurka jasna!

Tickles najwyraźniej wycisnął z żuka co się dało, bo powrócił zmysłami do dziecka, które przetarło błękitną brodę i po raz kolejny dzisiaj się wyszczerzyło.

— Ciesz się, Psorze!

Tickles schował notatnik i stare piórko wieczne do kieszonki na piersi i rozejrzał się. Ostatnie z trzech słońc tego układu chowało się powoli za górami z hordonium, co oznaczało przyjście nocy. Bardzo niebezpiecznej nocy.

— Chodź, Rito, znajdziemy jakieś schronienie, zanim Fiesta nie wstanie.

— Dobrze!

Rito ponownie złapał bladą dłoń swoją błękitną i ruszył obok Psora. Mieli jakieś sześć godzin zanim Fiesta, pierwsze z trzech słońc, nie wstanie.

Nie musieli ujść daleko, by znaleźć zarośniętą miękkimi pnączami jaskinię, idealną na nocleg. Niewiele czasu zajęło im również rozłożenie posłań i rozpalenie ognia, aby przetrwać nocne obniżenie temperatury.

Rito siedział owinięty w śpiwór, przez co wyglądał jak gigantyczna gąsienica z błękitną głową i jasną czupryną. Patrzył na Ticklesa, który wertował skład kamyka z jaskini przez przenośny mikroskop kwantowy. Nadal siedział w swojej wiekowej kurtce skórzanej z kapturem zaopatrzonym w puchate wykończenie. Rito zawsze śmiał się, że kiedy Psor zakłada kaptur, zamienia się w lwa, polującego na naukowe kąski.

— Ciekawy ten kamień?

Tickles spojrział w górę, by znad swoich okularów dostrzec udającego gąsienicę Rito. Zaśmiał się pod nosem i odrzucił kamień, szybko sporządził notatki i sam wcisnął się w swój śpiwór, robiąc z siebie jeszcze większego robaka. Położył się obok dziecka i spojrział na sufit, poobwieszany pnączami. Na roślinach siedziały stworzenia podobne nieco do gacków, ale posiadające podwójne skrzydła. Gacki spały, bo wydawały z siebie coś na kształt piskliwego pochrapywania. Tickles usłyszał, że młody obok zaczyna się wiercić, miętoląc materiał śpiwora. Doskonale wiedział, że Rito nie był ciekawy jego pracy. Rito chciał czegoś innego.



— To co, co dzisiaj?

Rito przycołgał się do Psora i wpakował swoją głowę, pokrytą białymi włosami, na brzuch mężczyzny. Tickles spojżał na niego rozbawiony, otaczając białe, skórzaste włosy ramionami.

— Skąd masz tą bliznę pod okiem, Psorze?

Kasztanowłosy odruchowo sięgnął do swojego lewego policzka, na którym widniała cienka, ale dość długa blizna. Pojechał po niej palcem, mówiąc z nutką ironii.

— Wiesz, kiedyś jak pracowałem nad skalpelem laserowym, niechcący strzeliłem sobie tym laserem w twarz. I tak cieszę się, że to tylko policzek...

Tickles zaśmiał się, starając się zignorować rozczarowany wzrok dziecka.

— A ja sądziłem, że to walce z jakimś galaktycznym zbirzem, albo dzikim, zmutowanym potworem!

Rito wystawił dłonie spod materiału, najpierw udając, że strzela z własnego ogona, a potem udając coś, co Psorowi przywiódło na myśl stary film o demolującym miasto gigantycznym jaszczurze. Poklepał jasne włosy, mówiąc spokojnie.

— Kurka jasna, ty jak już coś wymyślisz, Rito. Idźmy lepiej spać, bo jutro jak najszybciej musimy stąd iść, dobrze?

Psor nie musiał drugi raz powtarzać.

Tickles nigdy nie włączał budzika, bo wystarczył najlżejszy promyczek światła, żeby go obudzić. Jednak tym razem to nie światło było jego budzikiem. Był to krzyk Rito.

— Rito!

Psor zerwał się na równe nogi, by odkryć rozrzucony bagaż dziecka i jego rozwalony śpiwór. Rozejrzał się szybko, nasuwając okulary na lekko garbaty nos.

— Rito!

Wybiegł z jaskini, wołając donośnym głosem, płoszącym ptaki i gacki z okolicznych drzew. Kiedy znów usłyszał krzyk, nogi same go poniosły. Przedarł się przez jakieś kłujące chaszczce, modląc się w duchu, żeby nie były to jakieś trujące rośliny i wybiegł na tę samą polankę, na której wczoraj wylądowali. Fiesta dopiero wstawała, nadając otoczeniu krwawy kolor, jakby mało było czerwieni dookoła. Temu jednak, co Psor zobaczył, natura nie usiała nadawać takiego koloru. Bo ilekroć Psor choćby o nim pomyślał, kojarzył go z kolorem krwi.

Na polanie stał mały odrzutowiec kosmiczny, widocznie sklepany ze starych lub kradzionych części. Pomalowany we wrogie barwy, odstraszał na kilometr. Przed maszyną stał wielki Turok, stwór z jednej z planet na krańcu galaktyki, a którego Tickles miał już nieprzyjemność spotkać. Wysoki, poważnie otyły Świniak z połamanyimi kłami i dłońmi tak wielkimi, że mógłby zgnieść w nich czaszkę człowieka.

— Kubaron.

— Tickles.

Kubaron uśmiechnął się do Psora, wystawiając swoje zepsute, żółte zębiska. Podrzucił zawiniątkiem na swoim prawym ramieniu, które wydało z siebie zduszony krzyk.



— Rito!

— Coś tak czułem, że ta rozbiegana mała larwa jest twoja. Niemniej, wiesz, jak to jest Tickles...

Kubaron chrząknął, a przez budowę jego twarzy, przypominającej świński ryj, popuła trawę dookoła siebie. Rito wisiał na jego ramieniu, zawinięty w materiał z sieci hirtunów, kosmicznych pająków, posiadającej zdolność kurczenia się podczas ruchu. A że mały był ruchliwy, to obecnie ledwo dychał przez ucisk tkaniny.

— Znalezione, nie kradzione. Jakby mnie to w sumie obchodziło, he he!

Psor wstrzymał oddech, intensywnie myśląc. Kubaron był łowcą niewolników. Tickles spotkał go kiedyś, jak wyłapywał zwierzęta dla jakiegoś galaktycznego hrabi z jednej z zagrożonych planet, ale z racji że on był człowiekiem, a Kubaron prawie dwumetrowym potworem z barami jak trzydziściu szafa po pani Tickles, wołał nie protestować. Jednak teraz ten zbój trzymał Rito. Tego nie mógł puścić płazem.

— Zostaw Rito w spokoju, Kubaron. Chcesz, zapłacę ci.

Kubaron pociągnął nosem, drapiąc się wolnym łapskiem po brodzie.

— No nie wiem, Tickles. Niby znają cię tu i ówdzie, panie Podróżniku w Wymiarach, ale nie sądzę, żebyś miał na tyle forsy, żeby opłacić dziecko z plemienia Mandalianów.

Psor zacisnął zęby. Doskonale wiedział, że dziecko, które przygarnął wywodziło się z jednego z najbardziej pożądaných na niewolników ludów w kosmosie.

— Dogadamy się, zapewniam. Tylko proszę, postaw go na ziemi i rozwiń z tego cholerstwa.

Świniopodobny stwór znów charknął i rzeczywiście postawił Rito na trawie. Twarz małego była ciemna przez brak oddechu, ale wystarczył jeden ruch Kubarona, żeby tkanina zaciskająca się poluzniła i pozwoliła chłopcu na trochę swobody. Gdy tylko Rito zobaczył Psora, chciał krzyknąć, ale wielkie łapsko zatkało mu usta.

— Chcę za niego milion kredytów.

Tickles pobladł, ale szybko potrząsnął głową. Musiał ratować Rito.

— Stać cię, Tickles?

Kubaron śmiał się i charkał jednocześnie, opluwając skórzaste włosy Rito. Chłopiec patrzył wystraszony na Psora. Wiedział, że jego opiekun nie ma takiej kwoty.

— Dobra. Dostaniesz te swoje kredyty. Tylko oddaj mi małego.

— HAHAHA!

Świniak zaśmiał się na potęgę, łapiąc Rito pod pachę. Chłopiec znów krzyknął, kiedy Kubaron wskoczył na pokład.

— Na Jenosocie, jutro o wschodzie. Mam nadzieję, że mnie nie robisz w konia, Tickles!

Psor nie zdołał nawet się zbliżyć, bo podmuch powietrza spod odrzutowca odepchnął go na czerwoną trawę. Po chwili mógł tylko patrzeć na znikającą na niebie kropkę, będącą statkiem łowcy.

\*\*\*

Wpadł do domu, nie wiedząc specjalnie, co robić. Rzucił sprzęt w kącie, rozsypując próbki i notatki.





— Kurka jasna, Tickles, myśl...

Rozglądał się nerwowo po pokoju, szukając w nim czegoś, co mógłby szybko odsprzedać.

— Mam tylko jedną trzecią tej kwoty w skrytce...a skąd resztę...

Załamany opadł na starą kanapę i spojrział na przeciwległą ścianę. Pokryta była rysunkami Rito, które były "notatkami" dziecka z ich wspólnych podróży. Już prawie trzy lata wisiły "zapisane" na tej ścianie.

Psor walnął pięściami o poduszki na kanapie. Nie pozwoli znowu zamknąć Rito w klatce. Nie pozwoli pomiatać nim jak śmieciem. Po jego trupie.

\*\*\*

Kubaron cisnął małego do klatki z plazmowymi drzwiami, uprzednio usuwając hirtunową tkaninę. Znudzony oddalił się do panelu sterującego nie wiedząc, że Rito posyła mu z klatki zabójcze spojrzenie.

— Psor mnie uratuje.

Świniak spojrział na malucha przez ramię po czym popluł panel przez atak śmiechu.

— Ta, jasne, mały. Jeżeli obrabuje bank...

Rito usiadł przy plazmowej ścianie, wertując wzrokiem wnętrze statku. Trochę broni, pożywienia, kilka mniejszych klatek. Maluch podrapał się po nosie, po czym szybko wyprostował się zaskoczony. Powoli pomacał swój pasek, napotykając na nim przywieszkę z jedną z postaci z Gwiezdných Jeźdźców, znanego programu dla najmniejszych mieszkańców kosmosu. Rito spojrział po kryjomu na Kubarona. W przywieszce był nadajnik. A w nim aktywny komunikator.

\*\*\*

Nazajutrz rano odrzutowiec wszedł w atmosferę Jenosoty, porzuconej planety kilka jednostek za układem, z którego pochodził Rito. Maszyna leciała przez chwilę wśród chmur, ale szybko musiała opaść ze względu na wysoką temperaturę powietrza. Jenosota została opuszczona przez efekt cieplarniany, który pozbawił ją większości fauny i flory i uniemożliwił życie na niej na dłuższą metę. Obecnie służyła za bazę wypadową dla kosmicznych zabijaków i łowców niewolników, takich jak Kubaron.

Odrzutowiec usiadł na jedynym płaskowyzu, wynurzającym się z morza piasku i ognia w polu widzenia. Stacja miała kształt grzyba i była trudno dostępna z racji pogody i szalejących tu burz piaskowych.

Kubaron zacumował maszynę przy pomocy obciążnika kinetycznego i sięgnął po płaszcz z kapturem oraz grube gogle. Potem wyciągnął Rito z klatki i ciągnąc go za rękę zażartował.

— Módl się, żeby twój Psorek miał kasę.

Rito w odpowiedzi zawarczał tylko. Jego skórzane włosy zrobiły się czerwone, na co Kubaron zagwizdał.

— Mały Mandalianin, a już barwy bojowe mu wyłażą, powinienem być zawołać za ciebie dwa miliony...



Gdy wyszli, uderzyła w nich ściana piasku. Nie przeszkadzało to jednak Świniakowi dostrzec mizerną postać, mającą po drugiej stronie stacji. Tickles stał tam z niewielką walizką, okrywając twarz kapturem i chustą. Turok zaśmiał się, charkając.

— Tickles!

Psor poruszył się, powoli zbliżając się do otwartego odrzutowca. Rito patrzył na niego przez mocno przymknięte powieki, czując, że coś nie gra.

— Masz forsę?

Bez słowa walizka powędrowała w górę. Kubaron polizał spierzchnięte usta.

— Rzuć ją i odejdz, to puszcze smarkacza!

Psor pokiwał i postawił walizkę na środku stacji, po czym zaczął się wycofywać. Tym razem Turok ruszył, ciągnąc za sobą malca. Świńskie oczy wpatrzone w upragnione źródło gotówki nie zauważyły tego, co wychwyciły srebrne oczy Rito. Ktoś zbliżał się do nich z lewej.

Kiedy postać owinięta ciemną opończą zbliżyła się na tyle, by złapać małego Mandalianina, Kubaron zagarnął chłopca i przystawił mu pistolet laserowy do głowy.

— Co to ma znaczyć, Tickles?! Nie zależy ci na dzie... AŁA!

Turokowi nie dane było skończyć, po małe, ostre ząbki Rito zatopiły się w jego ręce, zmuszając go do puszczenia zakładnika. Jak na zawołanie, postać, którą Kubaron wziął za Ticklesa, zdjęła płaszcz, odkrywając damskie ciało.

— Panowie, do roboty!

Turok zobaczył tylko wielkie, zielone oczy kosmitki i ogromny szybowiec, który wyłonił się zza niej i zaczął celować do niego.

Świniak zaklął i spojrzał kątem oka na byłego jeńca. Rito stał parę metrów dalej, odkryty opończą, należąca do prawdziwego Ticklesa. Obaj mierzyli go wzrokiem, a ognistoczerwone włosy Rito widoczne były nawet pomimo zamieci piaskowej.

— Chrzanić was!

Kubaron strzelał na oślep do kobiety i szybowca, który puścił salwę ostrzegawczą dookoła łowcy. Wystraszony, Turok zaczął bieg do swojego pojazdu. Kobieta o zielonych oczach ruszyła za nim, krzyząc.

— Już nas opuszczasz, Kubaron? To masz na do widzenia!

I rzuciła w niego czymś na kształt igły, która wybuchła tuż pod nogami łowcy, wyrzucając Świniaka do wnętrza śmigłowca jak z armaty.

Pogoniony, Kubaron odleciał, zostawiając swoją cenną zdobycz w ramionach Psora.

Dopiero na pokładzie szybowca Rito mógł zobaczyć, kto przyleciał mu z pomocą. Oprócz Ticklesa była tam Yakura, zielonooka kobieta-zabójczyni, była łowczyni, wielki pilot pojazdu Uka, z wiecznym uśmiechem na twarzy, Tacker, strzelec, który był najprawdopodobniej odpowiedzialny na salwę w stronę porywacza i Hino, zgarbiony biolog z nieodłącznym towarzyszem, kameleonem Juno.



I pomimo tego, że Rito znał całą załogę, na którą zwykł mówić per “ciociu i wujku”, nikt nie nappełnił go taką radością jak Psor.

— Kurka jasna, Rito!

Tickles przytulił do siebie malucha, który przyssał się do niego jak rzep, włącznie z ogonem. Uka zaśmiał się donośnie, za co został zbesztany przez łowczynię.

— Psorze, ale ja się bałem! Ale wiesz, wiedziałem, że po mnie wrócisz!

Psor tylko pokiwał, czując, jak wali mu serducho. Kiedy skontaktował się ze swoją starą ekipą, nie sądził, że wyskoczą z takim planem. Takim niesamowicie niebezpiecznym, ryzykownym i cholernie trudnym planem. Planem, który był ich jedyną szansą na odzyskanie Rito.

— Kurka jasna, ja też się bałem...

Yakura kiwnęła na pilota, a ten od razu skierował maszynę w stronę najbezpieczniejszego miejsca w kosmosie. Domu.



Mieszkanie Profesora Ticklesa było bardzo ciasne. Robiło się jeszcze ciaśniejsze, kiedy panował w nim typowy dla Psora bałagan. Ale kiedy w domu pojawiali się goście, nie było nawet gdzie szpilki włożyć.

— Jeny, Tick, weź tu od czasu do czasu ogarnij! Jak ty wychowujesz dziecko w takim bajzlu?

Yakura zrzuciła jakieś papiery z fotela i rzuciła się na niego, starając się nie widzieć Uki trzymającego na kolanach Rito. Ukochany wujek nie da mu spokoju przez resztę dnia, tylko tyle zdołała wywnioskować.

— N-N-Nikt z wa-was nie je-jest rannnnny?

Hino zapytał, kuląc się na stołeczku przy stole



i odgarniając długie, rude włosy ze zrogowaciałej przez rany twarzy, Na jego ramieniu Juno właśnie bawił Rito swoim jaszczurzym tańcem.

— Nie bój boja, Hino, Świniak nie miał szans!

Na kolanach Uki nagle pojawił się Tacker, atakując najmłodszego w pokoju swoimi dwoma parami rąk. Rito zaczął chichotać, kiedy Tickles wszedł do pomieszczenia. Uśmiechnął się, widząc swoją ukochaną ekipę razem. Ale jeszcze bardziej ucieszył się, widząc szeroki uśmiech na błękitnej twarzy.

— Tak swoją drogą Psorze....?

Tickles spojrział zza okularów na dziecko, otoczone w sumie trzema parami rąk. Rito miał duże oczy.

— Miałeś te pieniądze dla tego Świniaka?

Psor spojrział na Yakurę, która tylko wypięta dumnie pierś. Psor złapał się za tył głowy.

— Nie, Rito. Bo nawet i sto milionów nie jest warte twojego życia.

Mały zaczerwienił się nieco, lecz po chwili dodał.

— W takim razie co było w walizce?

\*\*\*

Kubaron był już daleko, kiedy wreszcie doszedł do siebie. Mijał właśnie układ zwany Czerwonymi Oczami, przez charakterystyczną barwę wszystkich szesnastu planet i słońca-czerwonego olbrzyma.

Był zły. Nie, on był wkurzony. Miał szansę opchnąć małego Mandalianina, ale schrzanił. Nie ma ani towaru, ani forsy.

— Szlag!

Kopnął w panel, który odpowiedział u głuchym hukiem. Turok wstał i skierował się do wychodka, kiedy w jego oczach pojawiła się iskierka.

W rogu kabiny leżała walizka, najwyraźniej wrzucona tu podmuchem po wybuchu broni tamtej kosmitki. Nietknięta. Pełna.

— Ha! Frajerzy!

Rzucił się do bagażu, ignorując swój pęcherz i szybko zaczął majstrować przy zamkach. Kiedy oba puściły, położył walizkę na podłodze i niemal z czcią powoli uchylił wieko. W środku nie było ani jednej karty z nabitymi kredytami. Ale była karteczka i pudełko.

*Z pozdrowieniami dla łowcy, który rąbnął mi dziecko. Goń się, capie.*

Kiedy z walizki wyszła kolonia wściekłych arnijskich mrówek olbrzymich, Kubaron nie myślał już o kredytach. Myślał, czy łazienka to dobre miejsce na zabarykadowanie się i przetrwanie ataku krwiozerczych owadów. ☹



